WYMIENNY 80 Go/G12835/286 nos. 12442/1/9

ROK I. NR. 9
WARSZAWA
SOBOTA
2-XII-1933 R.
CENA 50 GR.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ZOFJA NAŁKOWSKA

DOKOŁA KSIĄŻKI

Wobec zmniejszenia się czytelnictwa jako środek zaradczy powstaje samorzutnie tendencja do przeistoczenia książki zbytkownej w książkę, stanowiącą artykuł pierwszej potrzeby. Chodzi o zastąpienie literatury luksusowej przez literaturę popularną, dydaktyczną, rozrywkową, wreszcie literaturę krzepiącą, literaturę „pocieszenia". Jest to zapewne jedyny naturalny sposób na przetrwanie pisarzy, jako osobników. Ale wobec gatunku — wydaje się metodą defetyzmu i całkowitą rezygnacją.

Ta zniżkowa tendencja sublimuje się w nowoczesnym postulacie, by książkę „zbliżyć do życia", nietylko tematycznie, ale formalnie. Ma być najprostsza i łatwa, reportażowa, zrozumiała dla najszerszych mas czytelniczych, wolna od tego, co pogardliwie zwie się „literaturą". Jeżeli jednak równocześnie nie podnosi się poziomu intelektualnego tych mas drogą forsownego kształcenia, jak to się dzieje w Sowietach, to zapożyczanie stamtąd hasła takiej propagandy książki prowadzi do wulgaryzacji, której granic nie da się zupełnie przewidzieć. Takie uprzywilejowanie literackiego amatorstwa bardziej dogadza leniwej umysłowości czytającego inteligenta, niżeli służy robotnikowi. I sprzeczne jest z istotną, nowoczesną ambicją dzisiejszego świata, który we wszystkich innych dziedzinach dąży do udoskonalenia techniki, specjalizacji zawodu, do najtrudniejszych zadań i najwyższych rekordów.

Przeciwstawienie literatury i życia należy do tych schematów, które mają ułatwiać rozważanie zadań literatury, jej roli i obowiązków.

Przyzwyczailiśmy się do tego, że mieć w jakiejś sprawie swoje zdanie — jestto z dwóch przeciwstawiających się sobie stanowisk wybrać jedno i opowiedzieć się za niem bez wahania i bez zastrzeżeń.

Wahanie i zastrzeżenia wydają się brakiem decyzji. Tymczasem mogą oznaczać zupełnie co innego.

Obrać bowiem w danej sprawie jedno z dwu stanowisk jest to zarazem przystać na kryterja, leżące u podstawy tych rozróżnień. I gdy żądamy odpowiedzi, nie myślimy zazwyczaj, że w pewnym sensie antycypujemy już zgóry czyjąś zgodę na zasadę pytania, na schemat przeciwstawienia — wtedy nawet, gdy mamy do czynienia z naszym przeciwnikiem.

Otóż nie mieć zdania w jakiejś sprawie, to znaczy często poprostu nie uznawać założeń, wedle których każą nam ją rozważać. I w wielu wypadkach zajęciem stanowiska jest odrzucenie samego schematu przeciwstawień, skoro każda z dwu możliwości jest nam równie obca.

O wielu z tych schematów myśli się, że są narzucone przez życie, że stwarza je dzień dzisiejszy, domagający się rozstrzygnięcia ich w tę lub tę stronę. Tymczasem dzień dzisiejszy zdaje się raczej podważać i dyskredytować owe podstawy przeciwstawień. I ważniejszą rzeczą jest w tym wypadku sprawdzenie, skontrolowanie samych schematów, ich nierzeczywistych wypracowanych przez minione formy życia albo przezwyciężone fazy nauki kryterjów.

To, co mówię, jest dosyć ogólnikowe i wrócę jeszcze kiedyś do tej sprawy przy innej sposobności. Teraz tylko przypomnę, że do tych schematów należą typowo dualistyczne przeciwstawienia: uczucia i myśli, intuicji i rozumowania, a także literatury i życia. — Dziś możemy raczej przypuszczać ,że myśl jest tylko wyżej zorganizowanem uczuciem, uczuciem sformułowanem, przeniesionem do wyższej instancji świadomości. Intencja zaś, która cieszy się dotąd szerokiem zaufaniem jako organ poznania, nadrzędny wobec grubej empirji naukowego doświadczenia, jest właśnie doświadczeniem odziedziczonem, w swej formie spetryfikowanej i podświadomej nieprzydatnem dziś i bardzo zawodnem.

Wyprowadzone z przeciwstawienia literatury i życia postulaty, stawiane tej pierwszej w imię praw tego drugiego, mają zawsze mimo surowego tonu niepoważny charakter pretensji nieuzasadnionych. Jej tradycja u nas, że służyła dawniej ojczyźnie, wcale nie jest przekonywająca, ani obowiązująca. Jej w tym kierunku „dobra wola" została skonstatowana pośmiertnie, nie wynikała z nakazu. Przeciwnie. Nakaz ojczyzny przez usta Gorczyńskiego wzywał słabemi rymami Mickiewicza, by „dalekie rzucał Rzymy" i wziął udział w powstaniu, nie zaś by pisał trzecią część „Dziadów". Stało się na szczęście inaczej — i stało tak dlatego, że to był sposób, w jaki literatura wyrastała z życia, nie zaś świadomie mu służyła. Dzisiejszy stosunek literatury do życia, do państwa i narodu, do proletarjatu i rewolucji — jeżeli w pewnym sensie jest symptomatyczny, to niestety jest to znów tylko sposób, w jaki wyrasta ona z życia. Nie można mu jej przeciwstawić, nie można jej od niego oderwać. Nie mówi o niem, jest sama jednem z jego łożysk twórczych. Nie ma do niego dystansu, jest zaledwie jego epifenomenistyczną świadomością. Czemu służy i co sprawia, tego w dostatecznej mierze nie możemy dziś ocenić. Coś jednak niewątpliwie wyraża. Wypadkowa jej działań i wpływów nie da się przewidzieć ani regulować najbardziej nawet sugestywną perswazją. Wbrew pozorom nie daje sie to osiągnąć nawet w Sowietach. Na wybuch rewolucji wpływali pisarze, którzy bynajmniej jej nie pragnęli — jak kiedyś delikatnie czujący Rousseau i żartobliwy myśliciel Voltaire, jak później wielbiący carat i cerkiew Dostojewski i nie sprzeciwiający się złu, a przytem surowo cenzurowany Tolstoj. Nie wiadomo też, co należy myśleć o znaczeniu i roli, jaką miała cała imponująca lewicowa literatura Niemiec w przygotowaniu dla swej ojczyzny tego, co jest w niej dzisiaj.

Nie chcę przez to twierdzić oczywiście, że to wszystko jest jedynie ślepą grą żywiołów. Przeciwnie. Reakcje te i napięcia zależne są od głębokich czynników dziejowych i socjalnych, działających nie od dziś i determinujących wraz z jej literaturą daną epokę. I dlatego nie dają się normować zapomocą dorywczych, po wierzchu zjawisk przebiegających wymagań i sugestyj.

To powiedziawszy mogę teraz sama wysunąć pewien dezyderat, mający na celu niewątpliwe dobro książki polskiej.

Idzie o to, aby młode i silne talenty, których cały szereg doszedł do głosu właśnie w ciągu tych dwóch czy trzech najbardziej niepomyślnych dla książki lat ostatnich, znalazły się w warunkach, umożliwiających im rozwój swobodny i całkowity, wolny od tej życiowej udręki, jaką widzimy w „Szczurach" albo „Narodzinach człowieka", we „Wspólnym pokoju" i „Żołnierzach".

■ ■ ■

TREŚĆ:

ZOFJA NAŁKOWSKA
DOKOŁA KSIĄŻKI
K. IRZYKOWSKI
„KSIĄŻKA MATKA"
MARCELI POZNAŃSKI
O RADĘ NARODOWĄ OBRONY KSIĄŻKI
MIECZ. LEPECKI
W GÓRACH SYBIRU
OLGIERD GÓRKA
„OGNIEM I MIECZEM" A RZECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA
II. ODWRÓCONY OBRAZ
KAZ. CZACHOWSKI
INICJATOR NATURALIZMU W POLSCE
J. E. SKIWSKI
PSYCHOLOGJA POGARDY
M. J. TOPOROWSKI
NA DROGACH POLSKIEGO REGJONALIZMU
POLEMIKI, SPRAWOZDANIA, RECENZJE

K 1669/86/53
Biblioteka UMCS Lublin

KAROL IRZYKOWSKI

„KSIĄŻKA-MATKA"

(szkic scenarjusza)

Część I.

Człowiek wśród wrogiego otoczenia, które nie rozumie go. Usiłuje wyjaśnić ludziom swoją naukę, lecz go lekceważą.

Ponieważ zbliża się jego śmierć, człowiek pisze książkę i drukuje w niewielkiej ilości egzemplarzy. Książką nikt się nie interesuje.

Człowiek umiera.

(Tę książkę należy sobie pomyśleć jako podobną do dawnych dzieł filozoficznych, które były zarazem poematami i zawierały różne rady i przepisy. W Książce - Matce Człowiek zawarł ni mniej ni więcej tylko obraz przyszłej ludzkości, projekty różnych wynalazków, — wszystko ujęte w formę „beletrystyczną" i własnoręcznie ilustrowane).

(Taką książkę około r. 1850 napisał i wydał Francuz Robida. Zrębowicz miał jej egzemplarz).

Część II.

W kilkadziesiąt lat później ktoś w starej antykwarni „Pleśń" natrafił na zdefektowany egzemplarz tej książki. Zajęła go ona na chwilę, lecz ponieważ szukał książki innej, odkłada ją. Później coś mu się przypomina. Sen. Wraca do antykwarni. Szukają — nie znajdują. Ktoś niedawno zabrał. Szukają śladów tego, który wziął książkę, lecz je gubią.

Warjat w szpitalu opowiada, że czytał taką a taką książkę, nie wierzą mu. Lecz ten który szuka śladów, zwraca na ten fakt uwagę.

Starzy ludzie opowiadają dzieciom o Książce - Matce. W ich wyobraźni już urosło jej znaczenie.

Ktoś paląc w piecu stare papiery, wyjmuje niedopalony szczątek książki. Jego zaciekawienie.

Ten który szuka śladów, z różnych kawałków i opowiadań usiłuje domyśleć się co to za książka. Wychodzą na jaw także ilustracje.

Interesuje się tem prasa. Wytwarza się legenda o Książce-Matce. Różni pisarze starają się ją odtworzyć lub naśladować.

Ślady prowadzą do zamku dziwaka, jedynego, który ma jeszcze egzemplarz Książki-Matki. Nie chce go oddać. Zabarykadował się. Oblężenie. Pertraktacje. Groźba że zniszczy. Życie Książki-Matki znowu wisi na włosku. Wkońcu dostaje się ona w posiadanie publiczne.

Honory jej składane, uroczystości. Wobec Książki-Matki wszystko co dotychczas pisano, — okazuje się jej fragmentem, jej przeczuciem.

Część III.

Oddziaływanie artystyczne Książki-Matki. Ludzie zaczytani w różny sposób. Marzenia. Ta książka odrywa od normalnego życia, od pracy. Ogólne podniecenie. Śpiewy, muzyka, procesje. Starzec, któremu już na łożu śmierci, zostało dane zobaczyć tę książkę — coś sobie przypomina. Młode pary, które ją czytają. Wynalazcy sprawdzają jej rachuby. Filologowie komentują jej wersyfikację. Była to książka „futurystyczna" nawskroś. Ludzie zrozpaczeni, którzy w niej znajdują pociechę.

Kościół zazdrosny o działanie Książki-Matki. Wkońcu państwo zakazuje zajmowania się nią, ponieważ społeczeństwo zanadto się rozpróżniaczyło. Państwo tłumi ten ruch zbyt wielki, wygładza rozigrane fale.

Część IV.

Powoli wylaniają się pozytywne, społeczne skutki Książki-Matki. Ruch na polu wynalazków. W zakresie prawa, obyczajów, kultury — polepszenia, które w niej mają źródło. Przyśpieszone przeobrażanie się społeczeństwa.

(Między innemi burzenia i budowy. Burzy się jakąś „Bastylję", przebija się tunel, — wszystko według wskazań Książki-Matki).

Całe to opowiadanie może być też ujęte jako sen bibljotekarza, który nie może sobie dać rady ze skoordynowaniem książek.

Ze snu tego ma wynikać, że wszystkie książki są fragmentami Książki-Matki i marzeniami o niej.

Jego modlitwa, aby się stała Książka-Matka.

MARCELI POZNAŃSKI

O RADĘ NARODOWĄ OBRONY KSIĄŻKI POLSKIEJ

Walna, powszechna ofenzywa przeciw zastraszającej, niesłychanie szkodliwej obojętności wobec książki! W całej Polsce, w dniach od 26 listopada do 3 grudnia 1933 r. odbywa się „Tydzień Książki Polskiej". Ramy tego tygodnia obejmują szereg poważnych imprez i uroczystości, jak wystawy książek, akademje, odczyty, interesująco obmyślane publikacje, specjalny film i specjalne audycje radjowe, których celem jest krzewienie miłośnictwa ksiąg i planowa a żarliwa propaganda czytelnictwa. „Tydzień Książki" powinien doprawdy obudzić żywe zainteresowanie i wykrzesać niejedną iskrę zapału dla sprawy książki polskiej. Nie należy jednak poprzestać na tych iskrach zapału. I oto istnieje zagadnienie jak nie pozwolić ostudzić się tym iskrom, jak je przedłużyć i podsycić, aby zmieniły się w ogień nieustanny, szerokiem płonący koliskiem?

Stwierdźmy przedewszystkiem, iż sprawy książek i sprawy czytelnictwa nie powinny być jak dotąd podejmowane doraźnie, fragmentarycznie i w sposób niejako „ofiarny", nie powinny też one absorbować li tylko członków szczupłego klanu bibljofilów, czy grona pionierów, działaczy kulturalno-oświatowych. Książka — to nie rzecz odświętna, jej sprawy — to właśnie funkcje powszednie. Np. w całokształcie gospodarki gminnej bibljoteka komunalna winna być pojmowana jako takie samo normalne, podstawowe urządzenie użyteczności publicznej, jak choćby piekarnie. Skomplikowane zagadnienie książki, książki dobrej, taniej a estetycznie wydanej, szeroko, jak najszerzej rozchodzącej się, siłą rzeczy wysuwa się na czoło naszych spraw kulturalnych. Za sprawy czytelnictwa, za sprawy książki polskiej, tego naszego wspólnego, bezcennego dobra, musi być solidarnie odpowiedzialny, zorganizowany, nowoczesne metody działania wypracowujący i realizujący, zespół przedstawicieli wszystkich, najściślej związanych z książką, a więc autorów, czytelników, księgarzy, wydawców, bibljofilów, krytyków, bibljotekarzy i działaczy oświatowych.

Nie wszyscy zapewne pamiętają, nie wszyscy nawet wiedzą, że zmarły tragicznie w dn. 9 sierpnia 1931 r. Jakób Mortkowicz był nietylko żarliwym bibljofilem, znakomitym wydawcą i zwłaszcza niedoścignionym w estetyce i wytworności edytorem książek pięknych, nietylko organizatorem wszystkich spraw książki polskiej w kraju oraz zagranicą, nie nadarmo nazwanym jej ambasadorem na terenie międzynarodowym, ale — choć był przedewszystkiem człowiekiem czynu, nie słowa — wyraził swe ważkie poglądy na sprawy książki w trzech następujących, bardzo mało znanych publikacjach: „Rada Narodowa Obrony Książki Polskiej", (odbitka z „Przeglądu Księgarskiego" Nr. 21, 1926 r., str. 8); „Książka polska jako czynnik międzynarodowy i propagandowy" (odbitka z „Przeglądu Księgarskiego" str. 15 Nr. 49 z dn. 2. XII. 1928, poświęcony księgarstwu w Polsce Odrodzonej); wreszcie wielkie, wzorowo skomponowane i wspaniale wydane dzieło, zawierające cenny, zwięzły wstęp i 40 plansz artystycznych, przedstawiających facsimila celowo wybranych stron tytułowych, ilustracyj i t. d. najwybitniejszych artystów, p. t. „Le livre d'art en Pologne 1900 — 1930", przygotowane na Międzynarodową Wystawę Książki Artystycznej, otwartą w Paryżu w dniu 20 maja 1931 r.

Chodzi nam o pierwszą publikację, o „Radę Narodową Obrony Książki Polskiej". Jaka była geneza tej pracy, której treść rozsadza szczupłe rozmiary? W wydanym w r. 1928 „Pamiętniku", który pozostał przemiłą pamiątką II Zjazdu Bibljofilów Polskich w Warszawie, odbytego w dniach 31. X. — 2. XI. 1926 r., czytamy, iż na sekcji bibljofilskiej zjazdu Jakób Mortkowicz w referacie swym p. t. „Liga Obrony Książki Polskiej" zwrócił uwagę na zmianę usposobień i zapatrywań na sprawę rozwoju czytelnictwa i rozpowszechniania książki, wskazał na konieczność walki o czytelnictwo i książkę, wreszcie, po omówieniu co w tym zakresie uczyniono na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, zgłosił następujący, przyjęty przez sekcję i później na plenum, wniosek „Zjazd Bibljofilów Polskich w Warszawie, uznając konieczność powstania organizacji, któraby zaopiekowała się sprawą produkcji, obiegu i konsumpcji książki w Polsce, wybiera komisję w celu zorganizowania Rady Narodowej Obrony Książki Polskiej".

O powstaniu i działaniu tej komisji absolutnie głucho do dnia dzisiejszego.

Publikacja p. t. „Rada Narodowa Obrony Książki Polskiej", stanowiąca odbitkę z pisma zawodowo-księgarskiego, była rozwinięciem referatu, wygłoszonego na zjeździe bibljofilskim, uzupełnionem zagadnieniami księgarskiemi i wydawniczemi.

Wszystkie przesłanki i wszystkie wnioski Mortkowicza zachowały pełną aktualność i wymowę spraw kulturalnych nadzwyczaj pilnych. Dlatego pozwalamy je sobie zreferować dzisiaj, gdy wszystkim brzmią echa z otwarcia „Tygodnia Książki Polskiej".

Autor wyszedł z założenia, iż daje się odczuwać w Polsce brak instytucji, któraby stawiała sprawę książki ponad antagonizmami zainteresowanych, t. j. ponad antagonizmami między autorami i wydawcami, wydawcami a t. zw. sortymentystami, wreszcie między księgarzami a nauczycielami oraz organizacjami kulturalno-oświatowemi — i czytelnianemi. Pilną więc sprawą jest stworzenie takiej instytucji, któraby niezmiennie nad temi antagonizmami górowała i sprawy dobra i rozwoju książki planowo i stale wysuwała na czoło wszelkich zagadnień życia kulturalnego w Polsce. W przeglądzie celowej działalności w dziedzinie propagandy książki w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i w Anglji, zwraca uwagę przykład ostatni. W Anglji, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, istnieje bardzo poważny stosunek rządu, samorządów, społeczeństwa i szczególnie nauczycielstwa do sprawy czytelnictwa i książki. Godna podkreślenia jest okoliczność, iż duchowieństwo angielskie, podobnie jak amerykańskie, wygłasza kazania na temat książek. Bardzo rozpowszechnione są czytelnie robotnicze z działami dla dzieci. Sprawy książki i czytelnictwa koncentrują się w Anglji w „Narodowej Radzie Książki", organizacji powstałej w r. 1925, a mającej na celu propagandę czytelnictwa i rozpowszechniania książek. Organizacja ta zrzesza przedstawicieli wydawców, księgarzy, autorów i miłośników książek. Angielska „Narodowa Rada Książki" zajmuje się wydawnictwem bibljografji ogólnych i specjalnych, współpracuje z Ligą Narodów, organizacjami naukowemi, wydaje komunikaty o czytelnictwie, urządza szereg odczytów.

Czy podobna stała organizacja propagandy książki i czytelnictwa nie powinna powstać i u nas? Naturalnie, wzór angielski bynajmniej nie wystarczałby, nie stanowiłby żadnego ideału dla nas. Organizacja dla spraw polskiej książki, korzystając z doświadczeń zagranicznych, musi organicznie wyrastać z podłoża odrębnych, narodowych potrzeb.

Poczuciem odpowiedzialności za rozwój książki i czytelnictwa w Polsce musimy się przejąć wszyscy pospołu. Dlatego słuszny jest apel wyrażony w zakończeniu omawianej publikacji: „pracę w kierunku odrodzenia książki i czytelnictwa muszą podjąć czynniki rządowe, sejm, samorządy, szkoły wszelkiego typu, księgarze, bibljotekarze i instytucje prywatne. Wreszcie — „powinna być w Polsce, tak jak w Czechosłowacji, uchwalona ustawa, nakładająca na gminy obowiązek zakładania bibljotek z funduszów samorządowych".

Poruszona ustawa bibljoteczna jest zagadnieniem prawdziwie fundamentalnem dla sprawy rozwoju czytelnictwa. Sieć bibljotek publicznych jest naturalnem a niezbędnem uzupełnieniem sieci szkół powszechnych. W myśl najważniejszych wytycznych ustawodawstwa bibljotecznego, bibljoteki publiczne, powszechnie dostępne, bezpłatne, winny znajdować się w każdym ośrodku życia zbiorowego; winny posiadać książki istotnej wartości, odpowiadające potrzebom danego środowiska; wreszcie winny być utrzymywane kosztem gminy, ewent. przy pewnej pomocy państwa. Ustawodawstwo bibljoteczne, zrodzone ze zrozumienia pilnej potrzeby i doniosłości planowej organizacji czytelnictwa mas, przed wojną światową znane jedynie w Anglji i w Stanach Zjednoczonych, dziś coraz bardziej rozszerza teren swego działania obejmując coraz poważniejszy krąg państw europejskich.

Poza konkretną sprawą ustawy bibljotecznej, jest jeszcze w „Radzie Narodowej Obrony Książki Polskiej" wskazana druga, ważna linja kierunkowa. To w ogólności *sprawa zbiorowego odbiorcy książek*, przeciwstawiona minionemu okresowi *indywidualizacji czytelnictwa*. Właśnie nie kto inny ale znakomity wydawca książek pięknych i tak pięknie a tem samem kosztownie wydanych, iż przeznaczonych jedynie dla nielicznych „wybranych", dla smakoszów - bibljofilów, sprecyzował zasadniczą tezę, chyba odtąd obowiązującą dla wszystkich pionierów czytelnictwa: „Oświata dla wszystkich. Książka dla wszystkich. Ale tylko książka mądra, dobra i estetyczna. Ponieważ zaś obecne warunki gospodarcze są ciężkie, ponieważ nie możemy czekać na lepsze warunki bytu, musimy, przystosowując się do nich, *forsować w masach potrzebę czytania i korzystania z czytelni, innemi słowy musimy wytwarzać zbiorowego odbiorcę książek*".

Nie przesądzamy kwestji, czy Rada Narodowa Obrony Książki Polskiej ma powstać jako instytucja samodzielna, czy jako np. organ pomocniczy Akademji Literatury, wzgl. jako ciało doradcze p. Ministra W. R. i O. P. na wzór Państwowej Rady Oświatowej. Pod tym względem jest otwarte pole do dyskusji. Podkreślamy natomiast konieczność powołania w tej lub innej formie stałego zespołu ludzi, powołanych do pracy w dziedzinie rozwoju czytelnictwa i wszystkich spraw książki polskiej i za sprawy te odpowiedzialnych.

BRONISŁAWA OSTROWSKA

Z CYKLU: „WIERSZE OSTATNIE" *)

*
* *

Nie! nie napiszę sonetu.
Ale narwę w ogrodzie astrów białych,
promienistych, lekkich komet o złotem oku,
i gałęzi białodrzewu o białym aksamicie skóry na smutnych liściach,
i welonów gipsówki drżących jak srebrna mgła —
i włożę to w wysoki rżnięty kryształ na wnętrzu ciemnych drzwi,
by się zapatrzyć jak w strzęp gwiaździstej drogi mlecznej
przesianej lotem bladych anielskich piór...

A może
w mosiężny wielki pocisk włożę
złote kule afrykanek,
bronzowe tarcze słoneczników,
i wysokie promieniste dzidy blado złotych malw,
i postawię w słońcu na złotej makacie
i będę się głośno śmiać...

Albo jeszcze — grona czerwonych jarzębin bardzo ciężkie
złączę z kłosami złotej pszenicy i bladego żyta,
a potem zaś orzechy leszczynowe wyłuskam i będę siać
długo, długo, długo... przez palce

Nie! nie napiszę sonetu.

*) Z IV tomu „PISM POETYCKICH", który wyjdzie z druku w pierwszej połowie grudnia.

JÓZEF GRYCZ.

REWIZJA BIBLJOTEK UNIWERSYTECKICH

Sprawy bibljoteczne należą u nas do nader rzadko poruszanych wobec opinji publicznej. A przecież bibljoteki są obok szkoły kapitalnym czynnikiem wychowawczym i oświatowym, i odpowiednio pokierowane, mogą stanowić daleko sięgające narzędzie budowania świadomości. Przed rządem i społeczeństwem polskiem stoją na tem polu wielkie zadania, które w większości państw na Zachodzie zostały już podjęte lub zgoła przeprowadzone. W Ministerstwie W. R. i O. P. toczą się prace nad ustawą bibljoteczną, która pokryje cały obszar Państwa siecią bibljotek gminnych i powiatowych, niosąc oświatę najszerszym warstwom ludności. Wprowadzenie w życie tej ustawy, jako wymagającej nałożenia specjalnych podatków, musi jednak z konieczności czekać poprawienia się ogólnych warunków gospodarczych.

Aktualną staje się natomiast w tej chwili rewizja stanu i działalności naszych bibljotek naukowych, a w szczególności uniwersyteckich — w związku z opracowywanemi obecnie statutami uniwersytetów na podstawie nowej ustawy o szkołach akademickich. Nie jest to sprawa czysto uniwersytecka lecz ogólna, skoro w naszych warunkach, wobec bardzo małej liczby publicznych bibljotek naukowych, bibljoteki uniwersyteckie muszą pełnić i tę rolę, udostępniając swe zbiory według możności publiczności. Poza ramy uniwersytetu sięgają też kompetencje tych bibljotek dzięki temu, że Państwo powierzyło im funkcje bibljotek okręgowych, mających obowiązek gromadzenia, opracowywania i udostępniania egzemplarza obowiązkowego druków, otrzymywanych bezpłatnie z przydzielonego im okręgu bibljotecznego.

Te potrójne zadania bibljotek uniwersyteckich musi się uwzględnić i uzgodnić w statutach, normujących ich organizację wewnętrzną i zależność od władz uniwersyteckich i państwowych. W grę wchodzą tutaj trzy czynniki: Ministerstwo W. R. i O. P. w roli państwowej władzy naczelnej, która czuwa nad prawidłowem spełnianiem zadań przez bibljoteki, przydziela potrzebne fundusze, ustala zasadnicze normy organizacyjne. Uniwersytety, jako głównie użytkujący zbiory bibljoteczne, winny stać na straży dobra szkoły, zapewniając profesorom i słuchaczom potrzebny do pracy naukowej i pedagogicznej materjał, a w szczególności koordynując współpracę bibljoteki uniwersyteckiej z innemi zakładami w zakresie książek i czasopism. Bibljoteki wreszcie, jako zakłady ogólno uniwersyteckie, służące wszystkim wydziałom i mające cele ogólno naukowe, mają w ramach uniwersytetu — za zadanie uzupełnianie, opracowywanie i udostępnianie materjału bibljotecznego. Chodzi o odpowiednie wzajemne ustosunkowanie się tych trzech czynników do siebie pod względem ich praw i obowiązków jak i zależności.

Wspomniano już wyżej, że działalność bibljotek uniwersyteckich wykracza poza ramy kompetencji uniwersytetów, które wobec tego nie mogą rościć sobie prawa do roli decydującej o wszystkich sprawach tych bibljotek, nie mówiąc już o kwestjach tak ogólnych jak wyszkolenie pracowników, przepisy katalogowania, wypożyczenie zbiorów i t. p. Z tych tedy względów poddanie bibljotek uniwersyteckich pod bezpośrednią władzę Ministerstwa wydaje się jedynie celową formą zarządzania niemi. Również generalne inspektoraty bibljotek, wprowadzone ostatnio we Włoszech na wzór Francji, znalazłyby i w naszych warunkach szerokie i owocne pole działania.

Bibljoteki uniwersyteckie stanowią instytucje naukowe o pewnym specjalnym charakterze. Jako takie posiadać muszą fachowe kierownictwo i odpowiednio wyszkolonych pracowników. Praca bibljotekarska wymaga szerokiej podbudowy encyklopedycznych wiadomości ze wszystkich gałęzi wiedzy, znajomości historji i systematyki nauk, opanowania całego pomocniczego aparatu pracy naukowej, władania—bodaj w czytaniu—możliwie dużą ilością języków obcych, a poza tem specjalnych umiejętności z zakresu księgoznawstwa i bibljotekarstwa właściwego. Biorąc udział w wielkiej budowie nauki — choćby w roli sił pomocniczych — bibljotekarze-naukowcy muszą umieć posługiwać się metodami pracy naukowej, a niektóre dziedziny ich pracy wymagają osobnego przygotowania. To też traktowanie bibljotekarzy jako urzędników administracyjnych a nie jako pracowników naukowych przynieść musi szkody i im samym i bibljotekom i nauce. Należy od nich żądać fachowości, ale też z drugiej strony tę ich fachowość uznawać i liczyć się z nią.

Tej fachowości należy żądać nietylko od bibljotekarzy bibljotek uniwersyteckich lecz tak samo od tych pracowników, którym powierza się księgozbiory zakładów i seminarjów. Zwłaszcza zaś kierownikami bibljotek głównych wszystkich bez wyjątku szkół akademickich powinni być ukwalifikowani bibljotekarze, mający równocześnie pewne stanowisko w nauce, nie zaś — jak dotychczas — profesorowie, zmieniający się nieraz co rok. Ci właśnie kierownicy bibljotek głównych powinni być ekspertami i mężami zaufania władz państwowych i szkolnych w wszelkich sprawach bibljotecznych. Ich prestige i kompetencje powinny być — dla dobra sprawy — jak najszersze. Udział ich w obradach senatów nad wszelkiemi kwestjami bibljotecznemi, ogólna opieka nad wszystkiemi księgozbiorami danej szkoły akademickiej, przewodnictwo komisyj bibljotecznych i ustalanie ich porządku obrad umożliwi im zapewnienie nauce, profesorom i słuchaczom tego tak ważnego narzędzia pracy, jakiem jest książka, a nie uszczupli w niczem władzy i uprawnień samej szkoły.

Polityka bibljoteczna wymaga ciągłości i jednolitości działania. Kierownik bibljoteki jest tutaj, w przeciwieństwie do rektora, senatu czy komisji bibljotecznej, właśnie tym czynnikiem statycznym, którego zbyt daleko sięgające uzależnienie od owych zmiennych czynników kryje w sobie niebezpieczeństwo zmienności i załamywania się a nawet przerywania się linji rozwoju spraw bibljotecznych. Bezpośredniejsze związanie go zależnością z Ministerstwem, które swoje zamierzenia z natury rzeczy zwykło obliczać na dalszą metę, wydaje się o wiele celowszem, a wzory takiego załatwienia sprawy spotyka się już w niektórych państwach europejskich.

Charakter autonomiczny bibljotekom uniwersyteckim nadałoby również wyodrębnienie ich budżetów. Skoro poza zadaniami czysto uniwersyteckiemi pełnią one równocześnie funkcje bibljotek publicznych i okręgowych, muszą one mianowicie poza funduszami szkolnemi otrzymywać w budżecie Państwa odpowiednie kwoty, umożliwiające im należyte wykonywanie tych funkcyj.

Główna zaś rola uniwersytetów polegać powinna na czuwaniu, aby bibljoteki spełniały swe obowiązki wobec nich, t. zn. aby dostarczały im w odpowiedni sposób materjałów bibljotecznych. Jako punkt wyjścia należy tu przyjąć, że wszystkie zbiory bibljoteczne, jakie dana szkoła posiada, tworzą w całości jeden ogólny księgozbiór, który tylko ze względów praktycznych dzieli się na bibljotekę główną i bibljoteki zakładów i seminarjów. Aby jednak ten księgozbiór spełniał należycie swe zadania, musi on odpowiadać pewnym warunkom, przedewszystkiem pod względem jego zawartości a następnie pod względem jego przysposobienia do użytku.

I tutaj, zwłaszcza co do pierwszego warunku, należy udział uniwersytetów, a ściślej profesorów, w rozwoju bibljotek o wiele więcej niż dotychczas rozszerzyć. Jeżeli profesorowie chcą w bibljotece znaleźć potrzebne im książki i czasopisma, to muszą je w odpowiedni sposób wskazywać bibljotekarzom do nabycia. Nie wystarcza tu dotychczasowa praktyka, że profesorowie-kierownicy zakładów samowolnie nabywali potrzebne im wydawnictwa, nie troszcząc się o to, czy nie posiada ich już inny księgozbiór uniwersytecki, a uzupełnianie zasobów bibljoteki głównej pozostawiano samym tylko bibljotekarzom. Ci bowiem nie mogą objąć całokształtu produkcji wydawniczej z wszystkich zakresów wiedzy, a zgłaszane przez profesorów i innych czytelników sporadycznie dezyderaty nie mogą zadość uczynić potrzebie systematycznego wyszukiwania godnych nabycia publikacyj. Nie spełni też całkowicie tego zadania komisja bibljoteczna, która ma m. in. opinjować o nabytkach bibljotecznych. Tylko bezpośredni kontakt zainteresowanych profesorów z odpowiedniemi bibljotekarzami-referentami da tutaj wynik zadawalniający. Komisja bibljoteczna zaś winna uzgadniać potrzeby poszczególnych zakładów uniwersyteckich i ustalać ogólny plan uzupełniania ich zasobów książkowych. Jest to konieczne i celowe zwłaszcza ze względów gospodarczych, gdyż zapewni znalezienie się właściwych książek czy czasopism w właściwym księgozbiorze i zapobiegnie nabywaniu tych samych nieraz publikacyj przez kilka zakładów tej samej szkoły.

Warunkiem racjonalnego kompletowania księgozbiorów danego uniwersytetu jest dokładny przegląd ich zawartości. W tym celu bibljoteka główna powinna prowadzić ich centralny katalog, który równocześnie umożliwi także lepsze udostępnienie wszystkich zasobów bibljotecznych — nie tylko bibljoteki głównej.

Poruszenie powyższych spraw w dobie opracowywania statutów uniwersytetów wydawało mi się nie bezcelowem, uważam je bowiem za sprawy nie wyłącznie uniwersyteckie, lecz ogólne.

OGŁASZAMY SUBSKRYPCJĘ BIBLJOFILSKĄ:

W związku z całokształtem akcji „Tygodnia Książki Polskiej", postanowiliśmy przeprowadzić próbną inicjatywę na rzecz książki wartościowej i pięknej.

Podejmujemy zatem wydanie w prenumeracie, w szacie bibljofilskiej, kilku klejnotów literatury polskiej. Charakter bibliofilski tych wydań ma wyrażać się nie w ograniczeniu ilościowem nakładu i — dzięki temu — w rzadkości kolekcjonerskiej druku, lecz w wartości artystycznej treści i formy naszych tomików, tak aby były one nietylko miłą pamiątką „Tygodnia Książki" lecz przedewszystkiem cennym istotnie, harmonizującym treść książki z jej artystyczną szatą graficzną, stałym nabytkiem w księgozbiorze każdego kulturalnego człowieka.

Jako pierwsze tomiki z tego cyklu bibljofilskiego projektujemy: Cyprjana Norwida: „Bransoletkę", Henryka Sienkiewicza: „Legendę Żeglarską" i „Latarnika" oraz Wacława Berenta: „Mowę przy otwarciu Akademji Literatury".

W dniu dzisiejszym otwieramy Subskrypcję na tom I, który zawierać będzie **WACŁAWA BERENTA: MOWĘ PRZY OTWARCIU AKADEMJI LITERATURY, w układzie graficznym i z drzeworytami St. Ostoi-Chrostowskiego.**

Druk wykonany będzie antykwą polską A. Połtawskiego, w nakładzie 300 egz. na papierze simili-japońskim i 1200 na papierze zwykłym.

W subskrypcji cena tego tomu, drukowanego na papierze zwykłym, wynosić będzie . . . . . 1 zł. 50 gr.
dla prenumeratorów zaś „Pionu", którzy wpłacili lub wpłacą jednocześnie prenumeratę kwartalną . . . . 1 zł.

Na papierze simili-japońskim, egzemplarze podpisane przez W. Berenta i St. Ostoję-Chrostowskiego . . 6 zł.

Dla prenumeratorów „Pionu" — takież egzemplarze . 4 zł.

Subskrypcja trwa do dnia 12 grudnia.

Po zamknięciu Subskrypcji i wydrukowaniu tomu, nieobjęte subskrypcją egzemplarze będą do nabycia w księgarniach po cenie:

za egzemplarz na papierze zwykłym . . . . 2 zł.
za egzemplarz bibljofilski . . . . . 9 zł.

Prenumeratę wpłacać można: czekiem na P. K. O. na konto P. K. O. Warszawa nr. 18590 i w administracji „Pionu" (Aleje Róż 2).

kpt. MIECZYSŁAW LEPECKI

W GÓRACH SYBIRU

Góry Tunkiskie — Bielki w Burjato-Mongolji.

Sowiecki pułkownik Antonow namówił mnie, aby chociaż na parę dni opuścić stepową dolinę rzeki Irkutu i udać się z nim do cienistej tajgi, pokrywającej pobliskie góry Tunkiskie [1]). Nie należę do ludzi, których trzeba długo namawiać do włóczęgi.

Pojechałem.

Drogi Burjato-Mongolji są, delikatnie mówiąc, niezbyt dobre. Z Tunki [2]) prowadzi polna ścieżyna, niezła dla zaprzęgów konnych, ale nieco krępująca dla samochodów.

Było lato, gorąco. Z nieba sypały się na rozpaloną ziemię snopy żaru. Wzdychałem i wspominałem sobie opowiadania o mroźnym Sybirze.

Góry Tunkiskie widać z każdego miejsca szerokiej na czterdzieści wiorst doliny Irkutu. Wznoszą się one ku niebiosom potężnym masywem — zielonym u dołu, popielatym na gołych, skalistych szczytach. Zdaleka przypominają jakieś zaczarowane zamki, mury obronne, fortece. Wydają się przytem jednak lekkie i powiewne, jak palace renesansowe. Dopiero zbliska poraża człowieka ich ogrom.

Jadę więc do tych gór z Antonowem, z płk. Gierasimowem i porucznikiem Sokołem.

— Dojedziemy do Arszanu — mówi Antonow — tam są źródła mineralne.

Kiwam głową. Doskonale, dojedziemy do Arszanu. Ale tymczasem wyrasta nam na drodze burjacki ułus (wieś).

— Tego nie mogę ominąć — mówię i wołam do szofera: stop!

Przy drodze, otoczona stepem i płotem, stoi sobie jurta. Mała, niepozorna, niska. Na dachu, przysypanym ziemią, rośnie bujna trawa, na podwórku rosną — może już nie tak bujnie — dzieci, psy i świnie. Stary Burjat siedzi na stołeczku i okraczywszy niski pniak, rąbie drzewo. Naokoło wznosi się jego dzieło: stosy drewna. Burjat patrzy na nie z dumą. Przypomina mi Wilhelma II z Dorn. Mówię to. Oficerowie sowieccy śmieją się wesoło i donośnie. Burjat nic nie rozumie, ale jest zaniepokojony. Odstawia siekierę i kieruje się do wnętrza jurty. Myśli zapewne, że teraz zaczniemy go bić. Mało to już razy oberwał od Ruskich?...

Wyjmuję aparat fotograficzny. „Stój — mówię do Burjata — sfotografuję cię."

Niepokój Burjata wzrasta.

— Nie, Ruski, nie fotografuj. Diengi niet.

Myślę o kryzysie i zapewniam swojego żółtego brata, że nie chcę od niego pieniędzy, że, przeciwnie, dostanie rubla, o ile grzecznie pozwoli się zdjąć.

Burjat ożywia się .Myśl o biciu zapewne go już opuszcza.

— Ruski poczeka — mówi i wchodzi do wnętrza chaty.

Po chwili ukazuje się na podwórzu, przybrany w długi chałat koloru ongiś niebieskiego, siada na ławce i wzywa rodzinę. Nadchodzi żona — stara, brzydka Mongołka z fajkę w zębach i z warkoczykami jak druty, przerzuconemi na piersi, a za nią dwie młode dziewczyny. Na końcu, ostrożnie, zbliża się pies. Całe to towarzystwo tworzy grupę, a ja, fotograf, prztykam ją sobie dowoli.

Burjat bierze pieniądze, ale ich nie chowa. Trzyma je na otwartej dłoni i patrzy na mnie. Nic, biedaczysko, nie rozumie. Dziwni są ci ludzie biali. Czasem biją, czasem dają pieniądze, ale nigdy niewiadomo za co.

Siadamy do samochodu. Trąbka. Oglądam się. Dziewczyny wiszą na płocie i patrzą szeroko rozwartemi kosemi oczkami, stara Mongołka odbiera mężowi rubla, świnie zbiegają się znowu na podwórko, pies chce ujadać, ale ogólne podniecenie panów udziela się i jemu — milczy.

Powiał wiatr. Zakołysał trawą na burjackiej strzesze, a na drodze wzniecił obłok kurzu. Nurknęliśmy w ten tuman i straciliśmy z oczu jurtę.

Pędzimy teraz przez pustkowia. Mijamy jakieś zagaje, laski, strumienie, aż wreszcie kładzie się nam na drodze szerokie koryto rzeki, której dnem nie sączy się nawet najwęższa nitka wody. Zamiast niej leży w korycie śnieżnobiały piasek.

— Ki licho — mówię do Antonowa — gdzież się tutaj podziała woda?

Oficer sowiecki tego nie wie, wie jednak szofer.

— Spłynęła do Irkutu — objaśnia zwycięsko.

Dlaczego? To go nie interesuje. „Niech sobie spływa — mówi — od tego woda jest wodą".

Góry już blisko. Wiszą nad nami groźne, nieruchome. Tajga otula je szczelnie, wdzierając się natrętnie na szczyty. Niektóre pokryła nawet zupełnie, inne, skaliste, sterczą bezwstydnie nagie. Dojeżdżamy do nich od południa, więc śniegów ani śladu. Z drugiej strony, z północnej, zdobią je przez rok cały, nie tając nawet wówczas, gdy słońce lipcowe wysyła ku nim prawdziwy ukrop lotny.

Prof. dr. WOLF BRONNER.

Góry Tunkiskie są bezludne. Do ich stóp tulą się wioski i ułusy, ale w ich głębi człowiek bywa tylko gościem. Do stałych mieszkańców zaliczają się wilki, rysie, sobole, kuny, kozice i inne czworonogi. Wszystkim króluje wspaniały, dobroduszny miś sybirski. Niedźwiedź jest tu pospolitszy, niż gdziekolwiek indziej. Świadczą o tem liczne jego skóry w domach czołdonów i Burjatów, no i statystyka faktoryj handlowych, założonych przed paru laty specjalnie dla skupu p u s z n i n y czyli skór zwierząt leśnych.

Do dzikich ostępów gór Tunkiskich udawał się wielokrotnie Józef Piłsudski, który w ich pobliżu odbywał karę pięcioletniego zesłania. Wespół z towarzyszami niedoli polował w tutejszej tajdze, zapuszczając się daleko w jej głąb. Chociaż dzisiaj minęło już lat czterdzieści jeden, od chwili, gdy opuścił te strony, stoją Mu one przed oczami jak żywe. Plastyka słów Marszałka Piłsudskiego, który w Warszawie opowiadał mi o nich wiele, była tak wyrazista, że gdy je zobaczyłem — wydały mi się znajome.

Dla mnie, człowieka wolnego, góry Tunkiskie były tylko objektem podróżniczym: pięknym, pociągającym i egzotycznym. Inaczej spoglądał na nie zesłaniec, przywleczony do nich przemocą, tęskniący, trawiony nostalgją, nieszczęśliwy... Dla niego najpiękniejszy kształt, najcudowniejsza gra barw były obmierzłe i nieznośne. Dla mnie kształt był tylko pięknym lub brzydkim kształtem, barwa — piękną lub brzydką barwą. Dla niego szum tajgi przedrzeźniał odgłosy lasów polskich, dla mnie był melodją, nuconą przez żółtych lamów w starożytnych dacanach-świątyniach.

Na wysokości Zakopanego, na podgórzu, bije kilka źródeł mineralnych. Przy nich osiedliło się nieco ludzi, bolszewicy zbudowali sanatorjum dla dzieci, no i tak powstał Arszan, miejscowość kuracyjna. Każdego lata przyjeżdża doń około setki osób leczyć schorzałe żołądki i kiszki.

Jesteśmy więc w Arszanie. Z trzech stron góry, z czwartej rozległy widok na dolinę Irkutu i odległe pasmo gór Wschodnio-Sajanskich, oddzielających Związek Sowiecki od niezależnej Mongolji. Wydaje mi się, że gdybym wdrapał się na jeden ze szczytów, mógłbym zajrzeć na Sajany i popatrzeć na świat żółtych.

Samochód w Arszanie nie należy do rzeczy tak powszednich, aby nie wzbudził powszechnego zainteresowania, no i zapewne strachu. Trzech oficerów i jeden podejrzany cywil (to niby ja) o minie komisarskiej, jak mi to później przy przyjacielskim poczęstunku wyznano, nie mogli tu nic dobrego mieć do zrobienia. Najwięcej zapewne przestraszył się i wskutek tego pierwszy przybiegł lekarz sanatorjum. Był to jegomość nieduży, chudy, o niepopularnej w dzisiejszej Rosji minie inteligenckiej. Ubrany był w białe spodnie, które przypominały nieco kalesony, w pantofle z pomponikami i w rubaszkę koloru „bezbarwnego". Binokle na nosie z długim czarnym sznurkiem, założonym za ucho, dopełniały całości.

Początkowo nie zwróciłem na tę postać uwagi. Dreptała sobie koło nas i wciąż mówiła o sanatorjum, sypiąc cyframi i przykładami. W pewnej chwili schwyciła mnie za rękę i oświadczyła, że wszystkie książki są w porządku.

— Jakie książki? — pytam.

— Szpitalne, towarzyszu. Wszyściutkie, co do jednej, zaprowadzone od przeszłego roku. My tutaj, towarzyszu, pilnie czytamy rozporządzenia. Chodźcie do kancelarji i zobaczcie.

Mówiąc to, indywiduum patrzało mi uważnie w oczy, szukając w nich pochwały. Najwidoczniej brało mnie za jakiegoś wysokiego kontrolera, albo, kto wie, może nawet za samego szefa G. P. U. z Kultuka...

Przyszedł mi z pomocą płk. Gierasimow.

— My tu nie na kontrolę, obywatelu — rzekł wyniośle, tytułując lekarza per o b y w a t e l u i dając mu tem do zrozumienia, że, bynajmniej, nie przypuszcza, aby mógł on być towarzyszem, a więc członkiem partji komunistycznej.

Lekarz skurczył się, schudł jeszcze więcej i poczerwieniał.

Sanatorjum w Arszanie.

[1]) Góry Tunkiskie — Bielki stanowią granicę kraju Wschodnio-Sybirskiego i sowieckiej autonomicznej republiki Burjato-Mongolskiej.

[2]) Miejscowość, w której przebywał na zesłaniu Marszałek Piłsudski. Leży w Burjato-Mongolji.

Autor z oswojoną kozicą z gór Tunkiskich

Idę w góry. Ścieżka prowadzi wzdłuż pięknego strumienia o burjackiej nazwie Kyngarga. Oznacza ona: bęben. Nazwa to słuszna, rzeka pędzi po dnie skalistem i wydaje głuchy łoskot, który zdaleka możnaby od biedy wziąć właśnie za głos bębna.

Naokoło las. Modrzewie, świerki, jodły i cedry panują niepodzielnie. Stoją zwartemi szeregami, ramię przy ramieniu, smigłe, rozrosłe i krępe. U dołu spowija je gruby kożuch podszycia. Maliny, jeżyny i bezużyteczne zarośla panoszą się bujnie.

Porzucam ścieżkę i pnę się do góry. Nęci mię skalisty szczyt, porosły mchami.

Jestem teraz ponad tajgą. Korony jej drzew przypominają barwny dywan, utkany przez mieszkanki kraju Tuwińskiego, lub pled z małych kawałków skór, zszyty pracowicie w koczowisku tunguskiem.

Jodły, cedry i modrzewie szumią znaną mi melodję puszcz dziewiczych. Odgłosy tajgi nawodzą mi na pamięć selwasy peruańskie i sertony brazylijskie. I tu i tam spokój, powaga, tajemniczość...

Na górze wysokiej, kamienistej, dostrzegłem kępkę pięknych szarotek. Zerwałem je, schowałem i powiozłem do Polski. Kwiatki z miejsc zesłania Józefa Piłsudskiego — na pamiątkę dla Jego córek.

Zwiedziłem sanatorjum. Budynek niewielki, drewniany i napół pusty. Niczem nie różnił się od ubogich szpitalików małomiejskich u nas. Jednego tylko nie mogłem pojąć: dlaczego tych kilkunastu dziecinków burjackich strzegły posterunki wojskowe? I dlaczego wszędzie napotykałem drut kolczasty?

W Arszanie przebywały właśnie dwie znakomitości: prof. Wolf Bronner, członek moskiewskiego CIK-a (instytucja prawodawcza), oraz Nazarow — burjacki minister zdrowia.

Profesor Wolf Bronner urodził się w Wierchnie Udińsku, stolicy sowieckiej Burjato-Mongolji, i prawdopodobnie dlatego reprezentował CIK. na uroczystościach dziesięciolecia istnienia tej republiki, urządzanych w lecie tego roku. W czasach przedwojennych pracował w Paryżu u znanego polskiego lekarza dr. Motza, skąd też liczne koneksje z Polakami. Dzisiaj jest to już dobrze starszy pan o miłej powierzchowności i ujmującym sposobie życia. Jako polityk, był on doskonale poinformowany o polepszeniu stosunków polsko-sowieckich i wyrażał z tego powodu duże zadowolenie.

W czasie rozmowy z profesorem Wolfem Bronnerem nadszedł minister Nazarow, tytułowany przez wszystkich: t o w a r z y s z n a r k o m z d r a w (narodnyj komisar zdrawja). W Polsce każdy wziąłby go za Japończyka. Niski, szczupły, uśmiechnięty, o oczach kosych, zasłoniętych wielkiemi okularami, o skórze żółtawej i twarzy szerokiej z wystającemi kośćmi policzkowemi — był typowym przedstawicielem rasy mongolskiej. Nie znam się na subtelnościach, pozwalających odróżnić Chińczyka od Mandżura, czy Japończyka od Burjata. Możliwe, że różnice są, ale moje oko ich nie dostrzegało.

Minister Nazarow przedstawił mi się i zaraz wyraził przypuszczenie, że zapewne zawitam do Wierchnie Udinska, który, towarzysz nie da wiary, tak się w ostatnich dziesięciu latach rozrósł, że nikt nie może go poznać.

Z rozmowy tej dowiedziałem się, że autonomiczny rząd burjacki dokłada wszelkich starań, aby zwalczyć dziedziczne niechlujstwo swych obywateli i przyuczyć ich do nieznanego im zupełnie zwyczaju mycia się przynajmniej raz na tydzień.

W egzotycznem towarzystwie członka moskiewskiego CIK'a, ministra burjackiego i trzech sowieckich oficerów poszedłem na obiad do sanatorjum.

Należy przyznać, było tam czysto, biało. Ze ścian, jak wszędzie w Rosji, spoglądały portrety wodzów. A więc: Stalin, Lenin, Woroszyłow, a także jacyś pomniejsi bohaterzy miejscowi, o twarzach mongolskich. Ramy niektórych obrazów były przybrane bibułkowemi girlandami, lub papierowemi kwiatami. Brakowało tylko świeczek.

Już poprzednio zwróciłem uwagę na pewnego zażywnego jegomościa o sumiastych wąsach i tęgiej minie. Ponieważ kręcił się wciąż koło nas, zapytałem, ktoby to był zacz. Odpowiedziano mi: Piotr Rejnwetter, nowy dyrektor naszego kurortu.

— To chyba nie Rosjanin — rzekł płk. Gierasimow — te wąsy coś bardzo wyglądają mi na ukraińskie.

Nie powiedziałem, że mnie wydają się one bardzo polskie, bo raczej wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie spotkania rodaka w górach Burjato-Mongolji. W rozjaśnieniu wątpliwości dopomógł mi sam Rejnwetter.

— Obywatelu — zapytał mnie po rosyjsku — czyżto prawda, co mówił narkomzdraw Nazarow, że jesteście polskim oficerem?

— Tak jest, jestem.

Rejnwetter poprawił coś koło kołnierzyka, jakgdyby zaczął go nagle dusić.

— Ależ panie — zawołał — ja jestem Polak.

Polak w Arszanie, w górach Tunkiskich I to jeszcze dyrektor...

— A cóż za licho pana tu przyniosło? — zapytałem .

Człowiek z wąsami przeszedł na polszczyznę.

— Byłem zesłany osiemnaście lat temu — odrzekł — za propagandę antywojenną. Było to w samym początku wojny światowej.

Piotr Rejnwetter pochodzi z Łodzi. Rodzina jego ma tam żyć dotychczas. Kontaktu z krajem nie utrzymuje. Dawniej nie było jak utrzymywać, a później porwały się nici. Dzisiaj żyje w Sybirze i pewnie nigdy już do Polski nie wróci.

— Panie Rejnwetter — mówię, jak pan, polityczny zesłaniec, mógł pozostać w tej ziemi dla każdego Polaka przeklętej?

Rejnwetter odwraca oczy. „Zadomowiłem się" — mówi niepewnym głosem, milczy i wreszcie wyrzuca z siebie:

PIOTR REJNWETTER

— Ja jestem zwolennikiem klasowego poglądu na świat. Dla mnie narody są pocięte linjami poziomemi, nie tak jak dla was — pionowemi. Robotnik rosyjski, chiński, czy burjacki jest mi bratem, a polski pan — wrogiem.

Cóż mu na to miałem odpowiedzieć. Czy to, że w naszym kraju robotnik cieszy się takiemi samemi prawami, jak i ten jego nieokreślony polski pan? Czy może miałem mówić, że chleb w Polsce jest więcej „powszedni", niż w Związku Sowieckim? A może o społecznych ubezpieczeniach? Powiedziałem mu więc tylko to:

Rzeka Kyngarga pod Arszanem.

— Teraz w Polsce są żniwa. Pamięta pan: szachownica pól, a na nich ludzie z kosami. I wszędzie słychać klekot osełek. Tylko patrzeć dożynków.

Piotr Rejnwetter cały się nastroszył, nasrożył. Brwi ściągnął groźnie, wąsami poruszył, rękami zamachał.

— Powtarzam, obywatelu, jestem zwolennikiem klasowego pog... klasowego, klasow...

Cóż to się dzieje? Dlaczego głos mego rodaka łamie się, dlaczego słowa więzną mu w gardle? Spoglądam na niego zdumiony. Ale Rejnwetter głowy już nie odwraca, nie wstrząsa nią wojowniczo, lecz pochyla nisko na piersi.

Jurta burjacka.

Dn. 8 listopada wyruszyła
polska **wyprawa wysokogórska**
na zdobycie szczytu
ACONCAGUA w ANDACH
Korespondencje w y ł ą c z n i e
w GAZECIE POLSKIEJ

OLGIERD GÓRKA

„OGNIEM I MIECZEM" A RZE

II. ODWRÓCONY OBRAZ

KRÓL JAN KAZIMIERZ
portret z klasztoru O.O. Kamedułów na Bielanach pod Krakowem

Wolno twórcy — powieściopisarzowi, dramaturgowi, czy poecie, — wcielającemu np. treść rewolucji francuskiej w formę artystyczną, potraktować stosownie do swego odczuwania przeszłości Robespierre'a na biało, a Dantona na czarno, lub też odwrotnie, względnie obydwóch na biało, albo obydwóch na czarno. Nie może mieć jednak racji „robienie" Ro-

JEREMI KS. WIŚNIOWIECKI
wg. współczesnego portretu.

bespierre'a obrońcą pokrzywdzonej szlachty francuskiej, a wyroslej z rewolucji gwardji napoleońskiej zbiorem niedołęgów, uciekających przy każdem spotkaniu. Tego rodzaju zaś przeistoczenie stanowi treść tego fatalnego nieporozumienia, jakie bez najmniejszej własnej winy, a jedynie wskutek błędów historyków, zda-

Kanclerz W. Kor. JERZY OSSOLIŃSKI
wg. sztychu J. Falcka.

rzyło się Sienkiewiczowi w „Ogniem i Mieczem", a to zarówno w ogólnem ujęciu tła, jak szczególnie w odniesieniu do postaci Wiśniowieckiego.

Podobnie, jak w pierwszym moim artykule, podkreślam ponownie, że nie chodzi mi o wykazywanie błędów historycznych Sienkiewicza, błędów, których sobie zresztą na ogół nie uświadomił do końca życia. Musiałbym bowiem wtenczas zacząć od pierwszych stronic „Ogniem i Mieczem" i od wykazywania, że protekcja Krzyczewskiego, oraz pomoc Łaszcza, a nie przypadkowe spotkanie z fikcyjnym Skrzetuskim, wyratowały Chmielnickiego z rąk pościgów i zasadzek Czaplińskiego. Tym systemem następnie mógłbym przewertować całe „Ogniem i Mieczem", od pierwszej do ostatniej stronicy, odnośnie do której musiałbym stwierdzić, że Bohun nie umierał spokojnie w Rozłogach z żalu za Heleną ,ale że został 27. II. 1664 rozstrzelany przez Polaków pod Nowogródkiem Siewierskim.

Odwrócony bowiem obraz, jakim jest wobec rzeczywistości dziejowej „Ogniem i Mieczem", polega nie na błędnych szczegółach historycznych Sienkiewicza, przez niego przeważnie niezawinionych, ale na zupełnie fałszywem odczuciu tych lat, zwrotnych i tragicznych. *Doprowadziło go to do apoteozowania tych stron, typów, i momentów, które zasługiwały na potępienie i pioruny oburzenia*, a spowodowały pominięcie w „Ogniem i Mieczem" tych istotnie pięknych chwil lat 1648 — 49, które dopiero czekają na wielkie pióro, kierowane rzeczywistem poznaniem epoki. Nie mogę dość dobitnie podkreślić, że odwrócenie obrazu w „Ogniem i Mieczem" dokonało się bez bezpośredniej winy Sienkiewicza, bo większości podawanych faktów, oraz ujęć osób i rzeczy, jakie mam zamiar nakreślić w związku z obrazami „Ogniem i Mieczem", nie znajdzie czytelnik tych słów, nietylko polski, ale również ukraiński, w literaturze historycznej — wogóle. Dwóch „narodolubców" — tylko ten bowiem ukraiński termin ich istotę myślenia naukowego oddaje, — a mianowicie Kubala ze strony polskiej, a później Hruszewski ze strony ukraińskiej, narzuciło historjografji swym przemożnym wpływem naukowym do tego stopnia z gruntu fałszywy obraz lat 1648 — 9, że nietylko lat temu 50, gdy tworzył Sienkiewicz, ale nawet dziś jeszcze czytelnik nie znajdzie, mimo ogromnej literatury monograficznej polskiej i ukraińskiej, dzieł czy rozpraw naukowych, zbliżających się do istotnego przebiegu rzeczy i ujmujących wypadki na istotnej płaszczyźnie.

Na innem miejscu wytłomaczę z jakich motywów wypływa naukowy i ideowy obowiązek utrącenia tych, tak zgodnie przyjętych, fałszów historycznych, oraz jaki jest cel konstruktywny tej pracy. Na innem zaś dla odmiany miejscu i terenie udowodnię, dlaczego i w jaki sposób historjografja polska, a za nią ukraińska, doszły zarówno do błędnego ustalenia szeregu szczegółów, jak w rezultacie do fałszywego ujęcia całości, oraz szkodliwych, dla obydwóch stron, wskazań na przyszłość. Wystarczy ,jeśli już obecnie tym, którzy biorą za złe piszącemu te słowa utrącanie fałszywych bożków, odpowiem, że póki chodził w glorji politycznej św. Stanisław t. zw. Szczepanowski, nie mogła w naszych dziejach zarysować się olbrzymia i przepiękna postać Bolesława Śmiałego. Póki chodziła w wianku wszystkich cnót kobiecych i małżeńskich Barbara Radziwiłłówna, nie mogło się znaleźć zrozumienie dla rozumu i zabiegów Bony. Póki chodzi w glorji historjografji i przepotężnej sugestji sienkiewiczowskiej kniaź-Jarema i jego szlacheccy towarzysze, nie może dla duszy i rozumu polskiego ogółu, — czytającego i myślącego, — zarysować się przepotężna postać wielkiego męża stanu Ossolińskiego, nie może wysunąć się na właściwe stanowisko znakomity żołnierz i polityk Kisiel, nie może wrócić do swych praw wybornego i dzielnego żołnierza, wyśmiewany przez miljony uczniaków „łacina" Ostroróg, — a przedewszystkiem nie może stanąć przed duszą Narodu Polskiego, jako wiekopomne i nigdy niegasnące memento, niewątpliwie najtragiczniejszy, a zarazem jeden z najdzielniejszych naszych królów, — Jan Kazimierz.

Mniejszej jednak wagi byłaby krzywda historyczna ludzi. Celem najwyższym, tym pierwszoplanowym nakazem, który zmusza do utrącenia fikcji historycznych „Ogniem i Mieczem", jest twórczy obowiązek wstawienia w miejsce „bohaterstwa" krzykliwych uciekinierów szlacheckich — rzeczywistego bohaterstwa, które naprawdę miało miejsce w tych krytycznych latach. W miejsce „bohaterstwa rycerstwa", t. j. (w większości wypadków i ludzi) panicznie uciekającej szlachty, oraz jej formacji wojskowych (z ograniczeniem do tej epoki i z wyłączeniem Litwy), winno się postawić prawdziwy pomnik bohaterstwa polskiemu „chamowi" i polskiej piechocie z artylerją. Załamywał się bowiem Chmielnicki w latach 1648 — 9 nieraz i nie dwa na oporze polskim, ale nigdy na oporze szlacheckiej jazdy, ale tylko na bohaterstwie polskiego piechura i „chamów".

Schowana w archiwach i bibljotekach przeszłość polska tych lat wola, wobec zniekształcenia przez „Ogniem i Mieczem" polskiego odczuwania ówczesnych wypadków i ludzi, — o sprawiedliwość.

Czyż ktoś z tych, ogółowi polskiemu z tak sugestywną siłą narzuconych, obrazów mógłby się domyśleć, że Jerzy Ossoliński, mąż stanu pod niejednym względem przerastający Jana Zamoyskiego, a serdecznie gardzący tą czernią szlachecką, to żołnierz, który w czasie zagonu Sahajdacznego w noc z 10 na 11 października 1618 osobiście podkładał razem z Jakóbem Sobieskim, ojcem Jana ,petardy dla wysadzenia głównej bramy samejże Moskwy? Pozostał on niejako symbolem najdalej na wschód wysuniętej polskiej, wojskowej tężyzny, przysłoniętej potem przez zakłamanie, zarówno panegirycznej, jak kalumnatorskiej, kuźni historycznej z otoczenia Jaremy. Ten sam Jerzy Ossoliński, 30 lat potem, już jako starzec nad grobem, osobiście dowodzi w bitwie i osobiście atakuje, gdy inni z „bohaterskiego rycerstwa" pod wozy się chowali. Nic dziwnego, że jeden tylko Jerzy Ossoliński, wyprowadzony wreszcie z równowagi, biorąc aluzję do Piławiec, cisnął na tajnej radzie senatu, w oczy butnemu i tak pochopnemu do osobistych napaści kniaziowi Jaremie Wiśniowieckiemu, że on nigdy przed wrogiem w proso nie uciekał (por. m. in. Tomkiewicz str. 343). Czy z narzuconego przez Sienkiewicza i historjografję wyobrażenia długiej, siwej brody, Kisiela, szyzmatyka dobrej woli, godzącego wszystkich ze sobą, może się domyślić wykształcony nawet Polak, że Adam Kisiel to jeden z najlepszych żołnierzy i najdzielniejszych zagończyków tego czasu, że on to właśnie z kilkuset ludzi wytrzymał w Czernichowie (rok 1632) oblężenie Buturlina, po odstąpieniu ścigał go, atakował, a kozaków idących za jego sławą molojca, przyprowadził królowi pod Smoleńsk. Wiśniowiecki dla

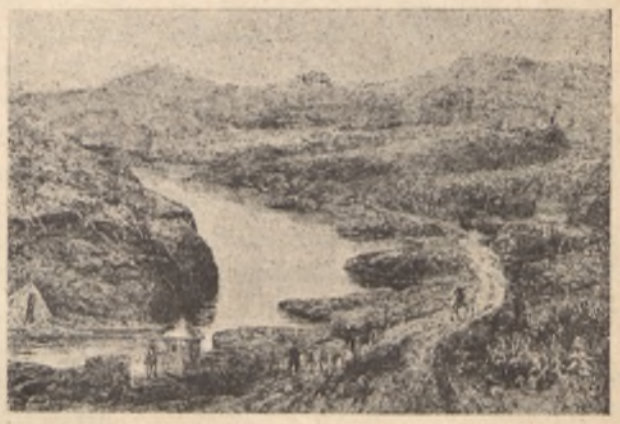

Piławce — miejsce klęski poniesionej przez W. hetmana Mikołaja Potockiego w r. 1648.

odmiany zdobył sobie już wtenczas sławę i przezwisko „podpalacza", a pod Smoleńsk oczywiście nie poszedł.

Przy tego rodzaju nastawieniach historycznych i literackich, nawet bardzo oczytany i wykształcony Polak nie jest dziś jeszcze w stanie domyślić się, że z Piławieckiej hańby najgorzej z wszystkich wyszedł — Jarema Wiśniowiecki! On to bowiem, uciekając jeden z pierwszych, dobił do Lwowa w stanie, który się nazywa po wojskowemu „bez portek", to jest z kilkunastu zaledwie rękodajnymi, a

Oblężenie Lwowa przez Chmielnickiego i tatarów
(wg. starego sztychu)

przy kompletnem rozbiegnięciu się swoich wojsk w panice na wsze strony (Szajnocha, Dwa lata. dod. II cz. III 466—7). Kisiel wyszedł z hańby piławieckiej z honorem. Pod Piławcami on pierwszy na czele pułku wołyńskiego atakował wojska Chmielnickiego, pozostał na froncie najbardziej wysunięty ku Kozakom i dopiero nad ranem wycofał się ze swoim pułkiem, podczas gdy, niejako za jego plecami, wszyscy z typu bohaterów „Ogniem i Mieczem" już w nocy najhaniebniej uciekli. Ten odwrócony bowiem wprost „do góry nogami" obraz, który odczuwaniu polskiemu narzuciła historjografja polska i Sienkiewicz, musi mieć swe konsekwencje we wszystkich szczegółach. Dla przykładu więc tylko przytoczę, że kozacki dowcip o „łacinie" czyli regimentarzu Mikołaju Ostrorogu, powtarzany bezkrytycznie przez

ECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA

wszystkie nasze podręczniki, przysłonił ogółowi polskiemu faktyczny stan rzeczy, polegający na tem, że regimentarz Mikołaj Ostroróg, wobec powszechnych nastrojów panikarskich wśród jazdy skupionej pod Zbarażem w roku 1649, musi osobiście jeździć na podjazdy, by wreszcie ktoś odważył się natrzeć na nieprzyjaciela i dostał „języka". Ten właśnie przez wszystkich uczniaków od lat 50 wyśmiewana „łacina" Ostroróg, bije się pod Zbarażem naprawdę bohatersko, łeb w łeb, i jest raniony raz za razem rydlami i kulami. Swą kartę przeszłości zepsuł tylko raz jeden ,gdy pod naciskiem zbiegłego z pod Piławiec żołnierstwa, podporządkował się przy planach obrony Lwowa szefowi wszystkich zbiegów, Jaremie Wiśniowieckiemu, chociaż mu za Piławce, tak jak Ossoliński, zarzucał tchórzostwo.

Nie łatwo więc przyjdzie komuś w Polsce na myśl, że ten, który mógł i chciał być katolickim Gustawem Adolfem, wyśmiewany raz dla odmiany, jako „pułkownik cesarski", a raz jako pokorny braciszek jezuicki, Jan Kazimierz, miał w palcu więcej doświadczenia i wiedzy wojskowej, niż kilku hetmanów i regimentarzy polskich tego czasu w stylu Mikołaja Potockiego lub Jeremiego Wiśniowieckiego — w swych głowach. Nawet w tej Polsce szlacheckiej, wiecznie wszystkich swych dzielnych króli obsypującej kalumnjami, nikt nie odmawiał Janowi Kazimierzowi, że był najdzielniejszym z dzielnych. Zupełny jednak brak fachowych opracowań dawniejszej polskiej wojskowości sprawił, że nauka polska nie domyśliła się nawet jego zalet, jako wodza i znawcy wojskowości, a Ossolińskiego dla odmiany w sposób wręcz naiwny wyśmiała. Szajnocha brał Janowi Kazimierzowi za złe, że wojska egzercerował, rewje urządzał, a podobnie gnębił go Kubala za porządkowanie taborów, a zwłaszcza za postulat, by przed i w czasie bitwy wojsko było całkowicie w ręku dowódcy. Możnaby pisać na ten temat i t. d., i t. d. ,choć dziś, już nawet podoficer zawodowy wykpiłby te wszystkie zarzuty i pretensje, jakie nasza historjografja do ostatniej chwili stawia Janowi Kazimierzowi. Jest to dziedzina w istocie swej jeszcze niemal nietknięta, a przeładowana do najwyższego stopnia zarówno nawskroś fantastycznemi cyframi wojsk nieprzyjacielskich, jak opowiadaniami najnieprawdopodobniejszych cudów, na szkodę zresztą prawdziwej zasługi i pozytywnych czynów.

Największej jednak krzywdy doznał w „Ogniem i Mieczem", — „cham"! Należałoby pisać bez cudzysłowów, bo nietylko Zagłoba, ale ogół współczesnych wyrażał się w ten sposób. Najsłabszą stroną wojskowości polskiej lat 1648 — 9 była właśnie jazda, a to przedewszystkiem ze względu na swe nastroje panikarskie, jak z powodu zdradliwego przechodzenia na drugą stronę, jeśli chodziło o dragonów. Regeneracja psychiczna tej jazdy, przynajmniej odnośnie do walorów bojowych, rozpoczyna się dopiero w roku 1656, w okresie zaś Chmielnieczczyzny przejęta jest ona od czasów Korsunia, — jak to zresztą wogóle w odniesieniu do wojska polskiego słusznie zaznaczył Szajnocha, — panicznym wręcz lękiem nie przed Kozakami, ale przed Tatarami. Tymczasem Tatarzy, występujący w kilka tysięcy, a wogóle najwyżej w 20.000 konnych, znakomici wręcz jako kawalerja w starciu na białą broń, rozbijający z łatwością w polu formacje lekkiej jazdy polskiej, a nawet znoszący doszczętu chorągwie husarskie, żywili zupełnie zrozumiały respekt przed bronią, której sami nie mieli, a więc w pierwszym rzędzie przed artylerją, w drugim — przed miarowym ogniem piechoty. Wszak dostanie się głównego zagonu tatarskiego pod Beresteczkiem w ogień polskiej artylerji, jest rozwiązaniem całego przebiegu tej, niekrwawej zresztą, bitwy.

„Cham" polski, zarówno jako mieszczanin, a zwłaszcza jako chłop polski, szczególnie pomorski, przetykany oddziałami Niemców, a przeważnie już (np. piechota Księcia Karola Wazy) pod komendą nikomu nieznanych polskich oficerów, — był prawdziwym bohaterem tych walk i czasów. Gdy pod Zborowem jazda została rozbita, pospolite ruszenie, jak zwykle, bez walki uciekło, a szereg karmazynów szlacheckich chowało się w taborze pod wozy, narażając się nato, że król Jan Kazimierz prał ich własnoręcznie rapirem tam, gdzie należy (Akty J. Z. Ros. III. 391), — „chamy" poszły do szturmu! Z kapelanami wojskowymi i kozackim, lecz po stronie królewskiej walczącym, atamanem na czele, chamska czeladź, a zwłaszcza kuchty królewskie, uderzyły z taką wściekłością i skutkiem, że — poraz pierwszy w dziejach walk polsko-kozackich — nieprzyjaciel cofnął się w przerażeniu. Czyż z odwróconego obrazu w „Ogniem i Mieczem", z monologów Zagłoby, oraz z tych fikcyjnych benenatów sienkiewiczowskich, może się dziś ktoś w Polsce domyśleć, że w czasie nocnych narad podczas bitwy pod Zborowem, już się nad tem nawet zastanawiano, by szlachtę zsadzić z koni, a powsadzać na nie „chamów" (por. m. in. Kubala, Szkice I, 99 i ods.), bo plebs wściekle atakuje? Rehabilituje się potem wprawdzie sam Sienkiewicz w innych częściach „Trylogji" z tej niesprawiedliwości. Daje nam przecież wspaniałą postać wachmistrza Soroki, obok wiernie narysowanych Kiemliczów, przynosi cudowny epizod z Michałkiem „od księdza proboszcza", wysuwa na czoło niezrównanego w rysunku Luśnię, a nawet wprowadza w akcję ciupagi Podhalan. W odwróconym jednak obrazie z „Ogniem i Mieczem" zrobił polskiemu „chamowi" krzywdę skrajnej niesprawiedliwości!

Ogólny widok Przemyśla (wg. sztychu z XVII w.).

Na tle tych bezustannych opisów w źródłach panicznych ucieczek szlachty i jazdy w czasie walk lat 1648 — 9, jakżeż odbija się i staje wzniośle przed oczyma historyka ta zapomniana przez Sienkiewicza, a ośmieszona wręcz przez Kubalę, piechota polska tych czasów! Gdy cały naród szlachecki z pod Piławiec haniebnie uciekł, w sposób wogóle w dziejach nienapotykany, wraca w ordynku nieatakowana już przez nikogo, piesza gwardja królewska pod wodzą Osińskiego, jakkolwiek ona właśnie poprzednio najbardziej krwawiła. Z nią razem wraca najwspanialszy, jako typ, z ówczesnych żołnierzy, holenderski awanturnik Arciszewski, który nietylko spokojnie z pod Piławiec odmaszerował, ale jeszcze fortelami sprawił, że Kozacy szereg godzin nie podchodzili do zupełnie opuszczonego obozu i porzuconych skarbów .Jakżeż to przepięknie wygląda pod Zborowem, gdy na tle ciągle wybuchających w obozie polskim tendencji do ucieczki, „cham", o którego nobilitację król kilkakrotnie zabiega, major Giza, na czele dwóch tylko kompanji piechoty, spokojnym i miarowym ogniem wstrzymuje najsilniejszy z ataków wroga.

Najpiękniejszy jednak z „chamów", bo najbardziej uświadomiony, to patrjotyczny, ofiarny i bohaterski mieszczuch, nietylko z samego Lwowa, ale także Przemyśla, Zamościa i t. d. Po Piławcach oszukał ich haniebnie Wiśniowiecki. Jarema, związawszy się z arcylotrem całej Polski, tak głośnym potem Hieronimem Radziejowskim, dla nabicia straconej pod Piławcami kabzy książęcej, zagrał na znanym patrjotyzmie mieszczan lwowskich i ich chęci walki. Gdy Lwów wszystkich środków dostarczył, okradł Wiśniowiecki, wraz z Radziejowskim, najspokojniej Lwów z wojska i olbrzymich sum pieniędzy, by w nocy, chyłkiem, z lęku zarówno przed plebsem miejskim, jak Tatarami, wymknąć się z miasta z 3500 żołnierzy (wszystkie źródła zgodne!), tak zresztą jak przedtem uciekł najhaniebniej z Zadnieprza, jak uciekł z pod Piławiec, jak potem ucieknie z Zamościa.

Chociaż regimentarze z wojskiem uciekli, mieszczuchy lwowskie z 252 (sic!) żołnierzami, przy radach niezrównanego Arciszewskiego, a obronie Adersa, późniejszego organizatora umocnień Zbaraża, odpierają pod wodą burmistrza przez cały tydzień szereg zaciekłych szturmów kozackich, rezolucją swą miasto ratują, a w końcu płacą okup, tak zresztą, jak pod Zbarażem i Zborowem. Prawdziwą ulgą duszy jest po tej hańbie piławieckiej i ucieczce z pieniędzmi Wiśniowieckiego, obraz tych rajców Lwowa, którzy, chodząc wałami po odpartych szturmach, krzywią się na nierozsądek lwowskich czeladników, w pościgu zeskakujących z wałów, by nawet w pojedynkę gonić Kozaków i Tatarów (Zerela ist. Ukr. Rusy IV. 100). W tem przeciwstawieniu optycznem Piławie i Lwowa była jednak

ADAM KISIEL — Wojewoda Kijowski wg. współczesnego portretu.

również głębsza treść. Jeśli operacje wojskowe senatorskich hetmanów i regimentarzy prowadzone były w tym czasie przeważnie pod tym kątem widzenia, by raz swoje dobra prywatne osłaniać, a raz od rekwizycji oszczędzać, jeśli dla zro-

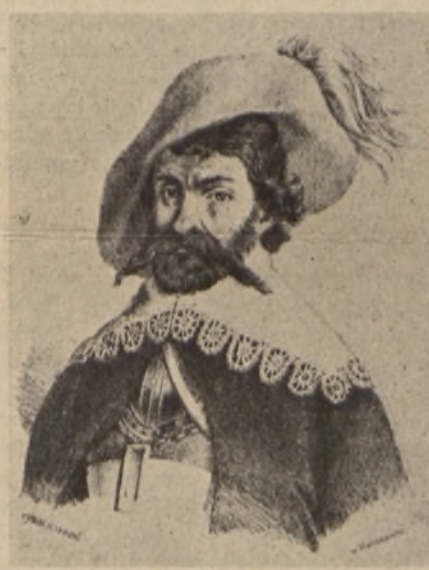

KRZYSZTOF ARCISZEWSKI — starszy nad armatą koronną.

zumienia szeregu decyzji taktycznych w walkach tych czasów, jest przedewszystkiem konieczna znajomość, gdzie majątki dowódców i ich rodzin leżały, — to mieszczanie lwowscy, widząc postępy kozackiej akcji, sami dla utrudnienia dostępu spalili swe bogate przedmieścia, czem ostatecznie przekonali Chmielnickiego, że sprawa z nimi, to zupełnie co innego. Zre-

FRANCISZEK KORNIAKT kupiec lwowski wg. portretu z Muzeum Lubomirskich we Lwowie.

sztą Lwów nie był unikatem. Niedawno uszlachcony mieszczuch lwowski Korniakt, którego dragoni legną potem pokotem pod Zborowem, z chłopami i mieszczuchami obroni Przemyśl, a Wejher z piechotą pomorskich chłopów osadzi ostatecznie Chmielnickiego pod Zamościem, wtenczas gdy Wiśniowiecki ucieknie do Warszawy na elekcję.

Wybierała się spora część braci szlacheckiej i senatorów uciekać z tobołami dalej aż do Gdańska, gdyż, według relacji współczesnych, zjawienie się chociażby 1000 kozaków w Warszawie przed tym 20000 tłumem konwokacji, rozpędziłoby bez trudu wszystkich tych reprezentantów „Ogniem i Mieczem". Litwa trzymała się dzielnie i oddzielnie, ale wszyscy polscy senatorowie, świeccy i duchowni, nie zdobyli się razem (nawet w deklaracjach!) na dużo więcej wojska, niż sam jeden Ossoliński, zresztą bynajmniej nie najbogatszy wśród nich. Tymczasem, — wbrew wszystkim kpinom najnowszych naszych historjografów, nierozumiejących istoty ówczesnych ugrupowań i przewrotów politycznych, — okazało się, że rację miał Kisiel, twierdząc, że osoba króla jest dla kozaków czemś boskiem (quid divinum). Jakkolwiek całej tej kozacko-szlachecko-tatarskiej masy nie przedzielały od Warszawy żadne wojska, bo Wiśniowiecki, jako organizator okazał się gorszym od wszystkich innych, — odpłynęła ona z rozkazu Chmiela na listy i poselstwa nowego elekta Jana Kazimierza nietylko spokojnie, ale wyjątkowo karnie, ku stepom Ukrainy, pozostawiając po sobie ruinę, przerażenie i niezałatwione postulaty.

Jeśli już te poszczególne, wyżej naprowadzone momenty, wskazywałyby, że nietylko fabuła, ale cały obraz sfantazjowany gienjalnie przez Sienkiewicza w „Ogniem i Mieczem", jest poprostu odwrócony „do góry nogami", to najjaskrawiej ta djametralna sprzeczność twórczości Sienkiewiczowskiej z rzeczywistością występuje w odniesieniu do osoby rzeczywistego Jeremiego Wiśniowieckiego i jego prawdziwych towarzyszy.

Dzieje tego prawdziwego Jaremy, którego polska historjografja zdołała nawet zrobić — wbrew wszelkiej prawdzie — wodzem obrony zbaraskiej w roku 1649, nakreślę kilku rzutami na innych stronach „Pionu".

DYSKUSJE

PSYCHOLOGJA POGARDY

Artykuł p. Jana Rembielińskiego, drukowany w „Myśli Narodowej" (Nr. 48) wywołał echa. Głównie ze względu na osobę Sienkiewicza, którego nieznany list do adwokata Antoniego Rembielińskiego został opublikowany. Zainteresowano się poglądami, a raczej — jak pan chce p. Rembieliński — brakiem jakichkolwiek poglądów Sienkiewicza na kwestję żydowską. Mnie tu interesuje inna sprawa. Mianowicie wyniesienie pogardy jako reakcji psychicznej — do godności cnoty narodowej.

P. Rembieliński, cytując list Sienkiewicza, wyraża się z zachwytem o pogardzie, którą znakomity pisarz miał okazywać Żydom. Tę pogardę p. Rembieliński gloryfikuje i poleca ją niemal jako wzór postępowania. „Sienkiewicz — czytamy w artykule p. Rembielińskiego — pisząc w swoim liście o majętnym, zapewne z powagą noszącym się kupcu, nie fatyguje się nawet zauważyć jego imienia czy nazwiska: jakiś żyd, mniejsza o to, Mordka czy Aron... I ten spokój, pełen pogody, przy rozważaniu możliwości, że pięciuset żydów miałoby się powiesić z rozpaczy I ta prosta konkluzja ostateczna: „niech ich tam dyabli wezmą!..."

Jak powiadam, nie obchodzi mnie w tej chwili, czy lub w jakim stopniu słuszny jest sąd p. Rembielińskiego o Sienkiewiczu, opierający się na liście, pisanym zapewne w irytacji. Interesuje mnie ta pochwała pogardy, którą wygłasza jeden z czołowych publicystów narodowo-demokratycznych.

Zauważmy przedewszystkiem, że pogarda jest uczuciem wybitnie antychrześcijańskiem. Pogardzać, człowiekiem — to znaczy przekreślać go zgóry i raz na zawsze, uważać go za straconego, stwarzać między nim i sobą dystans większy niż ten, który Boga dzieli od człowieka. Przeciw takiemu stosunkowi do bliźniego powstaje właśnie chrześcijaństwo. Uważało ono zawsze, że człowiek w każdej chwili może upaść, i w każdej chwili człowiek upadły może się podnieść. Dlatego nawet najświątobliwszych ludzi nie nazywa się świętymi za życia, dlatego również najzatwardzialszych grzeszników nie potępia nieodwołalnie i nie przesądza o możliwości ich zbawienia. Ten negatywny stosunek do pogardy, okazywanej bliźniemu, wynika z założeń religijnych chrześcijaństwa, ale ma on również uzasadnienie czysto psychologiczne.

Pogarda, przesądzająca o wartości człowieka i zamykająca arbitralnie jego wiecznie żywy proces jako raz na zawsze przegrany— fałszuje perspektywy i uniemożliwia porozumienie między ludźmi. Jest wyrazem rezygnacji z myślenia, z obowiązku ciągłej czujności i postulatu sprawiedliwości, dochodzi w niej do głosu niesłychana dufność i oschłość uczuciowa. Jako formuła stosunków pomiędzy poszczególnemi klasami społecznemi była zawsze pogarda czynnikiem nurtującej mściwości, elementem niepokoju i buntu, zaczynem rewolucji. Jest ślepa i nietwórcza.

Panu Rembielińskiemu podoba się rzekoma czy rzeczywista pogarda Sienkiewicza dla Żydów, ale zapomina on, że szlachcic nietylko Żydem gardził, ale i chłopem. Pogardę, choć z mniejszem tupetem okazywał chłopu mieszczanin, któremu też kmieć „śmierdział gnojem". — Czy i te rozgałęzienia pogardy zachwycają naszego narodowego d e m o k r a t ę?

Jeśli dopuścić pogardę jako regulatora w jakimkolwiek zakresie stosunków, — jakże potem powściągnąć jej naturalną ekspansję na inne dziedziny? P. Rembieliński, który lubi przy różnych okazjach podkreślać swój katolicyzm, zapewne zdziwi się, a może oburzy, kiedy się dowie, że zbawienie duszy każdego Mordki czy Arona jest ze stanowiska katolickiego tak samo ważne jak zbawienie duszy pana Jana Rembielińskiego. Może nawet ważniejsze, jako że — znowu ze stanowiska katolickiego — Mordka czy Aron nie znający prawdziwej religji, bardziej są zagrożeni niż pan Rembieliński, który ją przejął od przodków i wychował się pod jej zbawiennym wpływem. Wszystko przemawia za tem, że kiedy — po najdłuższym i pełnym chwały żywocie — dostąpi glorji wiekuistej p. Rembieliński — i Mordka — więcej radości, będzie w niebiesiech z tego Żydka, niźli z narodowego publicytsy.

Apoteoza pogardy, którą wygłosił p. Rembieliński ma jedną jeszcze stronę ciekawą. Autor artykułu uważa te odruchy pogardy za specjalnie sympatyczną właściwość psychiki polskiej, przynajmniej szlacheckiej. Tu jednak myli się, na szczęście. Właściwą polskiemu charakterowi fantazję, zamaszystość i powierzchowną nonszalancję — cechy bynajmniej nie dominujące, raczej utrzymujące się na powierzchni psychiki — autor rozdyma do jakichś wielkich cnót narodowych, któremi mogłyby być chyba w oczach jedynego Sienkiewiczowskiego bohatera — pana Zagłoby. Francuzi mają doskonałe wyrażenie, któremu brak odpowiednika w naszym języku, wyrażenie określające zwierzchni niejako pokład duszy, l e p r e m i e r f o n d. To, co leży na powierzchni, a co jednak jest z psychiką silnie związane i w pewnym stopniu ją charakteryzuje. Otóż owa reakcja pogardy dla wszystkiego, co nie moje, co inne niż mój obyczaj, co nie dogadza moim upodobaniom i zachciankom — to jest właśnie owo p r e m i e r f o n d psychiki polskiej. Ale są warstwy głębsze; one to sprawiły, że nie przyjęły się u nas praktyki Inkwizycji, że obca nam była nietolerancja religijna, że kagańcowo-hitlerowskie ideały były nam zawsze wstrętne. Jest jasne jak słońce, że na tych, a nie na tamtych elementach buduje się Polska dzisiejsza.

J. E. Skiwski

M. J. TOPOROWSKI

NA DROGACH POLSKIEGO REGJONALIZMU

Mała rozprawka Wł. Deszczki p. t. „Regjonalizm" (odbitka z Przeglądu Geograficznego) stanowi, mimo niewielkich rozmiarów, cenną pozycję w naszej ubogiej literaturze regjonalistycznej. W lakonicznej formie ujmuje autor genezę oraz zasadnicze postulaty aktualnego dziś ruchu. Drugą część rozprawki poświęca zwięzłej analizie i krytyce kilku większych publikacyj regjonalnych, wskazując w sposób pedagogicznie celowy ich braki i zalety. Uwagi to szczególnie pożyteczne ze względu na metodę konkretnych opracowań terytorjalnych, jakie coraz częściej zaczynają się pojawiać i — niestety — niejednokrotnie ujawniają podstawowe błędy w założeniach.

Wspominając o programowej pracy włoskiego antiregjonalisty, autor mimochodem porusza kwestję, czy scentralizowanie i zautokratyzowanie władzy państwowej nie stoi na przeszkodzie rozwojowi ruchu regjonalistycznego. Teoretycy regjonalizmu dawno już odpowiedzieli twierdząco na to pytanie, popierając odpowiedź szeregiem logicznych argumentów. Zdaje się jednak, iż kwestja nie jest wyczerpana. Co więcej, jeśli chodzi o Polskę, to nawet możnaby twierdzić, iż dzięki centralizmowi i autokratyzmowi carskiej Rosji idea regjonalizmu po raz pierwszy skrystalizowała się praktycznie w naszym kraju, w b. zaborze rosyjskim. Rzecz działa się w epoce pozytywizmu, który odegrał tu decydującą rolę czynnika twórczego.

Dwie zasadnicze idee ruchu pozytywistycznego, wyrażone w hasłach pracy organicznej i pracy u podstaw, wskazują już na ciekawą zbieżność z dążeniami regjonalizmu; Charles Brun, czołowy działacz i teoretyk tego ruchu we Francji, określa m. in. regjonalizm (posługując, zdaje się słowami Maurois), jako „les tendances positives au regain de vie organique". To już mówi samo za siebie. Gdy zaś mowa o organiczności w pewnych dążeniach cywilizacyjnych, zrozumiałem staje się również, iż musi się tu respektować zarówno czas procesów rozwojowych jak i miejsce, gdzie się one odbywają. Stąd już w założeniach pozytywizmu musiała tkwić koncepcja organicznej jednostki terytorjalnej czyli regjonu. Zapewne, koncepcję tę trudno było wysuwać programowo a tembardziej wprowadzić w życie w ówczesnych warunkach politycznych, lecz przecież i dziś należy ona wciąż do sfery postulatów, jeśli nie marzeń. Wszelakoż ważną jest istotna treść pewnych dążeń oraz konkretne zdobycie leżące na ich linji, choćby brak im było idealnych ram.

Gubernje Królestwa nie były idealnemi regjonami ale wobec oddalenia od nadnewskiej stolicy i przy dużej samowładzy gubernatorów musiały ograniczać się do własnego życia, stając się niejako „regjonami mimowoli". Brak komunikacji, i stosunkowo słabe oddziaływanie Warszawy, która nie mogła jak dziś scentralizować organizacyjnie każdej akcji społeczno-kulturalnej, sprawiały, że hasła pozytywizmu można było realizować tylko regjonalne. Wreszcie działał również pobudzająco i twórczo instynkt samoobrony, głęboko ukryty w motywach politycznych. Skoro kraj nie mógł walczyć i bronić się jako zorganizowana całość terytorjalna, rolę tę musiały podjąć poszczególne jego części. Pozytywizm był także swego rodzaju partyzantką, choć walka toczyła się w innej płaszczyźnie. Jeśli zaś całą akcję znamionowała apolityczność programowych wskazań, to mamy tu znowuż wybitną zbieżność z dzisiejszym regjonalizmem, który apolityczność swych dążeń energicznie podkreśla.

Tak tedy w najbardziej centralistycznie rządzonem państwie narodził się regjonalizm, którego istotną antycypację stanowił ruch pozytywistyczny... Patrzyliśmy dotąd na pozytywizm (zaboru rosyjskiego), jak na jedyne ognisko, w którego płomieniach spalały się temperamenty wybitnych współpracowników kilku sztandarowych czasopism warszawskich. Sprawa nie kończyła się jednak na Warszawie. Wystarczy spojrzeć wgłąb kraju, wskazać choćby dla przykładu na zapoznaną ziemię kielecką, świętokrzyską, która wydała regjonalnego pisarza tej miary co Dygasiński. Przykład ten rzuci może również nieco światła na twórczość i ideologję, a zwłaszcza na regjonalistyczne wyznanie wiary autora „Promienia", „Puszczy jodłowej", „Przepióreczki". Wszak jego młodość upłynęła w epoce oraz w miejscu, gdzie poza szeptami o powstańcach działo się przecież i coś aktualnie ważnego. Tylko, że za wypad poza Warszawę należałoby może wprzódy przeprosić warszawskich redaktorów oraz polskich regjonalistów.

Kiedy Raduski przybywa do Łżawca, aby tchnąć życie w zapadłą łżawiecką krainę, postanawia wydawać wzorowo regjonalną gazetę. Naprawdę najwłaściwsza to droga dla poczynań regjonalisty, a choć Raduskiemu brak było dziennikarskiego nerwu, miał przecież jasne wyobrażenie o swoich zadaniach. Wiedział, czego chce — pytanie tylko, czy wiedział również, iż ideał jego — może nawet w większej nieco skali — był już w kieleckim Łżawcu zrealizowany, trwając w dobrej formie przez blisko dziesięć lat i to w czasie, kiedy do kieleckiego gimnazjum chodził młodziutki Żeromski...

W roku 1870 zaczęła wychodzić w... Łżawcu „Gazeta Kielecka", której redakcja, wypowiedziawszy pogląd na odrębność warunków fizjograficznych i gospodarczych gubernji kieleckiej, poczęła konkretyzować hasła pozytywizmu w dziedzinie kulturalnej, gospodarczej i społeczno-humanitarnej. Za godło Gazety wzięto regjonalnie rozumiany dwuwiersz Brodzińskiego: „Czyń każdy w swoim kółku i t. d..." Redakcja pisma była właściwie czemś więcej niż redakcją: była regjonalnym klubem inicjatywy i działania. Współpracownicy dobrali się pierwszorzędni choć miejscowi. A. G. Bem drukuje w Gazecie swoje studja literackie, ks. Siarkowski — członek koresp. Akademji Umiejętności zajmuje się systematycznie świętokrzyskim folklorem i czynnie krzewi krajoznawstwo, Walery Przyborowski drukuje w odcinku powieści, lokalizując je w kieleczyźnie. Zorganizowana sieć korespondentów powiatowych nadsyła według wzorowej instrukcji redakcyjnej doskonałe sprawozdania z życia osad i miasteczek. Redakcja wysuwa myśl eksploatacji marmurów kieleckich i po roku powstaje towarzystwo akcyjne, którego zakłady do dziś dostarczają marmurów całej Polsce. Forsuje się odkrycie źródeł nafty we włoszczowskiem, którą to sprawę wznowił dopiero obecny rząd, budując szyb „Minister Boerner". Powstają instytucje kredytowe dla rolnictwa, handlu, rzemieślników.

A życie kulturalne? W jedenastotysięcznem miasteczku grywa całą zimę teatr i miewa komplety! Redakcja organizuje komitet teatralny. Po kilku latach buduje się wspaniałą na owe czasy (dziś bezużyteczną) salę i urządzenia teatralne. Sama Gazeta, świetnie redagowana, stanowi nieocenioną pozycję kulturalną, dopóki po latach nie przekształci się na pismo dochodowe... Ilość abonowanych w mieście czasopism literackich i naukowych, frekwencja na odczytach — to wszystko nie stoi w żadnej proporcji do obecnego życia kulturalnego dziś wojewódzkich Kielc ze zgórą 60 tysiącami mieszkańców... Wówczas nie było tu jeszcze kolei. Miejscowi księgarze wydawali książki własnym nakładem. Tu mógł drukować Dygasiński swoje „Szelągi kieleckie". Kielce, jako prawdziwe centrum regjonu, promieniowały na całą okolicę, były stolicą „na półtorej gubernji" jak wspomina stary portjer w „Promieniu".

Na związki St. Żeromskiego z pozytywizmem zwrócił uwagę prof. Ujejski w pięknym essay'u p. t. „Ostatni Wajdelota". Wydaje się jednak niewątpliwem, że cały regjonalizm Żeromskiego był pochodzenia pozytywistycznego.

Czy zaś gdzieindziej w Polsce działo się w owych czasach podobnie, jak w kieleczyźnie, wartoby zbadać. Może ruch pozytywistyczny zyskałby w ten sposób nieco koncentrycznego oświetlenia od dołu, a regjonalizm silniej wsparł swoje tradycje.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

INICJATOR NATURALIZMU W POLSCE*)

(Antoni Sygietyński 1850—1923)

„Niema gruntu mniej, niż nasz, przygotowanego pod uprawę sztuki.

„Społeczeństwo nasze, podatne wszelkiej kulturze, a więc i artystycznej, wyrzuca z łona swego jednostki z temperamentem szczególnym, pochopnym ku pracy twórczej, acz wypaczonej fantazją i wyobraźnią bujną, — jednostki, które, nie mogąc zmieścić się w ramach życia powszedniego, dziwnym prawie trafem oddają się sztuce. Z wyjątkiem Chopina i Moniuszki, którzy urodzili się muzykami i muzykami zostali, — z wyjątkiem po części Kossaka (Juljusza), a w zupełności Rodakowskiego, obu braci Gierymskich i Chełmońskiego, którzy urodzili się malarzami i malarzami zostali, — wszyscy nasi artyści, a mam tu na myśli potężne nawet indywidualności z zakresu sztuki plastycznej z drugiej połowy wieku XIX, są niejako specjalistami przygodnymi, historykami, archeologami, dramaturgami, poetami wreszcie, przedzierzgniętymi jeno w malarzy".

Słowa te, wzięte ze świetnej książki Antoniego Sygietyńskiego o Maksymiljanie Gierymskim (1906), najpełniej ilustrują charakterystykę pisarza, który od początku wystąpił, jako świadomy i nieprzejednany rzecznik autonomicznej niezależności sztuki. I takim pozostał przez całą swoją działalność.

Z zawodu muzyk, po studjach w konserwatorjach warszawskiem i lipskiem, podczas kilkoletniego pobytu w Paryżu gruntownie wykształciwszy się również w zakresie literatury i sztuk plastycznych, przyswoiwszy sobie poglądy znajdującego się właśnie u szczytu powodzenia naturalizmu francuskiego, Sygietyński, wyjątkowo wszechstronnie przygotowany, odegrał w polskiej kulturze artystycznej i literackiej rolę bardzo wybitną, dotychczas należycie nieocenioną i niedocenioną. Jego zasługi dla sztuki w Polsce w perspektywie czasu zmalały wobec przełomowego na tem polu znaczenia Witkiewicza, którego jednak Sygietyński o lat kilka wyprzedził i grunt mu przygotował. Obszerne przeglądy paryskich wystaw sztuki drukowane w „Ateneum" warszawskiem w latach 1878 — 80, następnie artykuły w „Prawdzie" o malarstwie polskiem, były na naszym gruncie pierwszemi szczepionkami nowych poglądów estetycznych, których bojowym szermierzem stanie się od roku 1884 Stanisław Witkiewicz, przewyższający Sygietyńskiego talentem pisarskim i zwłaszcza twórczą postawą uczuciową. Gdy bowiem Sygietyński, chłodny i trzeźwy intelektualista, czem przypomina Świętochowskiego, starał się jedynie przekonywać ścisłem i logicznem rozumowaniem, Witkiewicz porywał nadto czytelnika, oddziaływając na niego nietylko argumentami, lecz i żarem twórczej indywidualności.

I Sygietyńskiego, mimo jego umysłowość nastawioną przedmiotowo, ponosił temperament wyznawcy, upraszczającego lub naginającego sądy do powziętej zgóry teorji. Wystarczy porównać np. Gersona z pokoleniem świetnych malarzy, którym drogi w opinji społecznej torowali i Sygietyński i Witkiewicz, — a wówczas docenimy ich obu rolę inicjatorską w polskiej sztuce i literaturze oraz pogodzimy się z ich jednostronnością, nieraz jaskrawą, ale na tle swego czasu potrzebną i pożyteczną. W ogniu walki inaczej być nie mogło.

Reakcja powstała zrazu od strony sztuk plastycznych, na tle stosunków warszawskich w najgorszem naówczas pogrążonych zacofaniu. I na tem polu rozegrały się główne boje, które wywarły również bezpośredni wpływ na literaturę. Stąd też i dla literatury nowej epoki, rozpoczętej przez naturalizm a bujnie rozkwitłej w neoromantyzmie, obok którego i naturalizm nadal współdziałać będzie, nietyle Sygietyński, jak w przedmowie do obecnego wydania jego „Pism krytycznych wybranych" (1932) twierdzi Zygmunt Szweykowski, lecz raczej Witkiewicz posiada znaczenie podobne, jakie Mochnacki miał dla romantyzmu polskiego. Sygietyński jednak, zarówno w krytyce literackiej jak i w twórczości powieściowej, stał się właściwym i świadomym inicjatorem naturalizmu w literaturze polskiej. Co nadto, dzięki swemu wykształceniu artystycznemu i czynnemu współudziałowi w walce o niezależność szutki, Sygietyński także w literaturze wywarł stanowczy wpływ na przezwyciężenie kostniejącego w tendencyjnym utylitaryzmie pozytywizmu, on-to był prekursorem i pionierem hasła „sztuka dla sztuki" niesłusznie w opinji niektórych historyków literatury usuniętym w cień przez Miriama-Przesmyckiego, który dopiero w dziesięć lat później będzie torował drogi symbolizmowi, a wprowadzając nowe zdobycze literatury francuskiej do Polski, pójdzie tylko śladem, wyraźnie już przez Sygietyńskiego wytkniętym.

Sztandarowym organem naturalizmu w Polsce stał się warszawski „Wędrowiec", odkąd w r. 1883 nabył go Artur Gruszecki a do jego redakcji wstąpili Sygietyński i niebawem Witkiewicz. Drukowane tu w r. 1884 artykuły Sygietyńskiego „Z literatury i sztuki" wysokim swoim poziomem i bardzo surowym krytycyzmem walnie się przyczyniły do oczyszczenia atmosfery oraz do ugruntowania nowych poglądów i pojęć estetycznych. Ale w działalności krytycznej Sygietyńskiego najpoważniejsze znaczenie mają wcześniej drukowane w l. 1881—1883 w warszawskiem „Ateneum" studja o Flaubercie, Daudecie, Zoli i braciach Goncourt, pod wspólnym tytułem: „Współczesna powieść we Francji", dostępne obecnie w wydaniu Szweykowskiego „Pism krytycznych wybranych".

Studja te na tle czasu wyróżniały się samodzielnością, rozległością i dokładnością opracowania charakterystyk pisarzy obcych, a przedmiotem swoim wprowadzały do Polski gruntowną wiedzę o pisarzach, których znano ledwo z plotek lub z nieodpowiedzialnych kampanij przeciw naturalistom francuskim. Była to najlepsza, bo rzeczowa na te kampanje odpowiedź. O wartości zaś tej pracy świadczy najlepiej, że nie straciła jej poniekąd i dotychczas.

Obok tych studjów o naczelnych przedstawicielach francuskiej powieści naturalistycznej, niemniejszy wpływ na kształtowanie się poglądów estetycznych w Polsce wywarły przekłady Sygietyńskiego dzieł Taine'a, mianowicie „Podróży po Włoszech" (1885) i „Filozofji sztuki" (1896). Wcześniej, w r. 1884, wydał nadto Sygietyński przekłady Balzaca: „Jaszczur", „Arcydzieło nieznane", „Poszukiwanie bezwzględności" i „Marany", jedyne z dawniejszych polskich przekładów wielkiego twórcy powieści realistycznej, które nie tracą na porównaniu z przekładami Boya-Żeleńskiego, jakościowo godnie obok nich stając.

Bo Sygietyński był też pierwszorzędnym polskim prozatorem. Powiada o nim Chmielowski, że „z darem natury łączy przy pisaniu rozmysł artystyczny o sztuce pisania", że „jest artystą słowa z całą świadomością artyzmu". Zaś Zdzisław Dębicki pisze, że Sygietyński to majster „rozkochany w słowie, jako w narzędziu sztuki, pilnie dbający o ciężar gatunkowy każdego wyrazu, zapamiętały zwolennik określeń ścisłych, niepozostawiających żadnej wątpliwości, śmiały wskrzesiciel wyrazów, należących do starej polszczyzny, lub jeszcze śmielszy twórca nowych; ten sam umiejętny szlifierz stylu, który nie wypuści z warsztatu jednego niewykończonego zdania, nie da się unieść żadnemu frazesowi, lecz okiełzna wszystko i do ładu i porządku przyprowadzi, świadom logiki, od której zależy harmonja formy".

Jeśli Sygietyńskiego, jako krytyka, nazwano anatomem literackim, dokonywającym na dziele sekcji, aby najdokładniej zbadać każdy szczegół i jego miejsce w budowie utworu, ta sama postawa naturalisty wyraźnie się zaznaczyła w jego powieściach i nowelach. Brak jednak wyobraźni twórczej nie pozwolił na zajęcie na tem polu równie wybitnego stanowiska. Obie wszakże powieści Sygietyńskiego: „Na skałach Calvados" (1884), obraz życia rybaków normandzkich, przedstawiony na podstawie własnych obserwacyj autora podczas pobytu nad kanałem La Manche, oraz „Wysadzony z siodła" (1891), studjum coraz niżej deklasującego się szlachcica na bruku warszawskim, — są dobremi i sumiennemi próbami naturalistycznemi, nieustępującemi podobnym utworom Zapolskiej, uważanej zresztą słusznie za najwybitniejszą przedstawicielkę naturalizmu w powieści polskiej, a przewyższającemi powieści, które nazwanoby dziś „reportażowemi", Gruszeckiego, pisarza niesłusznie niedocenianego.

Pod względem budowy, powieść normandzka Sygietyńskiego jest pomyślana i wykonana artystyczniej, natomiast epizodycznie rozbita powieść warszawska odznacza się większem bogactwem materjału obserwacyjnego w szczegółach i jest wiernie odworzonym dokumentem czasu i środowiska. Opis kolacji u Boqueta, zajmujący bezmała czwartą część tomu, jest w swoim rodzaju wyborny i w powieściopisarstwie polskiem jedyny, a nieprześcigniony podobnemi epizodami w „Podfilipskim" Weyssenhoffa.

Na nowelach Sygietyńskiego, zebranych w dwóch tomach p. t. „Drobiazgi" (1899) i „Święty Ogień" (1918) ujemnie zaważył nieraz intelektualizm pisarza, nadmiernie przeciążający zasób materjału obserwacyjnego, przedstawionego przytem w ramach fabuły bardzo skąpej i pozbawionej napięcia dramatycznego. Wyróżniają się „Ciocia Teosia, kartka z życia nieinteresującego" (1890), jako drobiazgowo a sumiennie odtworzone studjum duszy kobiecej na tle szarej codzienności, oraz „Skałotocz-palczak" (1898), oryginalnie przeprowadzony pomysł noweli naukowo-przyrodniczej, w której nędzny małż skalny urasta na alegorję życia biologicznego, ale i społecznego.

„Wszystko — kończy Sygietyński tę nowelę — więc się zostało w naturze i dla przyszłości. Szczezło tylko światło, próżna chwała bytu, znak idealny działania, zgoła zresztą bezinteresowny, gdyż skałotocz, jako pozbawiony zmysłu wzroku, zarówno za życia, jak i po śmierci, komu świecił, nie sobie".

Ta mądrość poznania, zaprawiona nierzadko sceptyczną ironją, lecz niepozbawiona współczucia dla niedoli bytu ziemskiego, a zawsze walcząca o prawdę i postęp życia ludzkiego, była też myślą przewodnią całej działalności Sygietyńskiego.

*) Antoni Sygietyński. Pisma krytyczne wybrane. Pod redakcją i przedmową Zygm. Szweykowskiego. Nakładem Instytutu Literackiego. Warszawa 1933.

LOGIKULSTWO PANA ANTONIEGO

Tadeusz Peiper ukuł doskonałe słowo: logikulstwo. Tego słowa użyto raz przeciw mnie, zresztą niesłusznie; i tak mi się ono spodobało, że nie mogę się oprzeć pokusie zaaplikowania go teraz p. Słonimskiemu. Jest on klasycznym logikułą co zaraz udowodnię. Wpierw jednak określę, co rozumiem przez „logikulstwo". Ludzi, którzy myślą logicznie, jest mnóstwo, — w tem znaczeniu, że prawidłowo wysnuwają wnioski z pewnych przesłanek. Trudności porozumienia się zachodzą dopiero przy samych przesłankach: gdy kto niedostatecznie lub mylnie różniczkuje pewne zjawisko, gdy nie uwzględnia dalszych, nowych ewentualności, — ponieważ jest niedostatecznie poinformowany, uparty, tępy, lub ma za mało wyobraźni. Np. Zulusi, zobaczywszy pierwszy raz konia nazywali go wielką świnią, ponieważ dotychczas znali tylko świnie i nie mogli odróżnić. (Podsuwam tutaj dowcip na temat świni). Dla dziecka ciocia jest wujciem bez wąsów. Także ktoś, który będąc na inauguracji Akademji Lit., zauważył z oburzeniem, że tylko Irzykowski i Nałkowska nie mieli na sobie fraków, — był logikułą.

Taki logikuła lubi mówić: aut — aut, tertium non datur, — i zdaje mu się, że się posługuje „żelazną" logiką. Właśnie takiem żelazem traktuje mnie p. Słonimski w n-rze 521 „Wiadomości Literackich". Powiada, że proponując Boya na prezesa Akademji, albo wykpiwam Akademję, albo przekreślam całego „Benjaminka" — tertium non datur. Ale owszem — datur! Ani nie wykpiwam, ani nie przekreślam. Po pierwsze—w polemikach literackich, ja przynajmniej, zachowuję zawsze pewną szczyptę komedji, aktorstwa; nigdy nie idę aż na noże. Może to jest niemoralne, ale ja przecież zanadto cenię polemikę jako gatunek, przecież literacki. Nie znaczy to, żeby prawda i powaga i zaciętość miały być wykluczone, — owszem, dla dynamiki musi być ich jaknajwięcej; lecz mają funkcje pośrednią, osłonięte są błoną formy. Aby to p. Słonimskiemu lepiej wyjaśnić, sięgnę po przykład, który mu będzie miły. W „Klubie Pickwicka" Dickensa ktoś popełnia obrazę, lecz później się pokazuje, że on to myślał „w znaczeniu pickwicdowskiem". To jest nietylko humorystyczne, to jest nawet głębokie; należałoby tylko w miejsce „pickwickowskie" podstawić jakieś nowe pojęcie.

Po drugie — przyznam, że kandydaturę Boya powinien był postawić właśnie kto inny; nie chcę opowiadać dziejów tej jednej godziny — lecz każdy „czytelnik gazet" jak i każdy akademik mógł zrozumieć o co chodzi, gdy się stawia tę kandydaturę. Przecież właśnie plebiscyt urządzony przez antiakademickie „Wiadomości Literackie" (logika?) wysunął Boya na pierwsze miejsce, ludek literacki i ludek kochający literaturę jego sobie wybrał, nadużywań wyborczych nie było, ja zaś jako demokrata szanuję wolę ludu; nie mówię wprawdzie: vox populi — vox dei, lecz mówię zawsze: volenti non fit iniuria. Całe życie miałem różnych dziwacznych panów nad sobą; także Boya bym jakoś wytrzymał.

Dalej zarzuca mi p. Słonimski, że przecież zwalczałem Akademję a teraz sam do niej wstąpiłem. Więc — sprzeczność? Otóż przypominam, że istotnie przez parę lat toczyła się walka między zasadą Izby Literackiej a zasadą Akademji — jedna z najszlachetniejszych walk w naszem życiu literackiem,gdyż szło nie o osoby lecz o zasady. (I właśnie dlatego „Wiadomości Literackie" których ideologją jest rangizm i talentyzm, uchyliły się od niej, razem z p. Słonimskim, który nie widział w niej dla siebie pola do swoich solowych popisów.). W tej walce, po dwóch kongresach, zostałem ostatecznie zwyciężony w prawidłowem głosowaniu, moje sumienie demokratyczne zostało zaspokojone, gdyż tym razem: nolenti non fit iniuria, poddałem się i złożyłem oświadczenie, że wobec tego wyniku będę popierał Akademję. Dla mnie też istotnie Akademja jest Izbą, choć pogorszoną. Gdyby kto się zawsze upierał przy tem, że jego zasady nie uchwalono, życie obywatelskie byłoby niemożliwe. Mogłem mieć skrupuły polityczne lub osobiste przy wstępowaniu do Akademji, ale tego skrupułu logikulskiego, którego brak wytyka mi p. Słonimski, nie żywiłem nigdy.

Powtarzam: Akademję traktuję jako Izbę. Każdy rząd, czy blokowy, czy endecki, czy socjalistyczny, wymówiłby sobie wpływ na nią, i przed kilku laty, kiedyśmy robili ustawę o Izbie, działo się to w ścisłem porozumieniu z ministrem Dobruckim, — o czem wiedzieli wszyscy ci, którzy opracowywali ten projekt w imieniu przeszło 50 literatów, przeważnie lewicowych, podpisanych potem na odpowiedniej odezwie. Rządy są przecież zawsze od tego, aby przeszkadzać; lecz kto chce faktycznie coś przeprowadzić, zrobić konkretną robotę i zna się na tem i owem, — nie może się krępować tą ingerencją. Każdy szef, właściciel, dyrektor, naczelny redaktor ma swoje kaprysy, — wie o tem każdy spec, każdy inżynier fabryczny czy kopalniany, każdy radca ministerjalny i każdy współpracownik pisma, i stara się to zło konieczne zredukować do minimum. Ale kto a priori widzi w Akademji tylko skupisko rang prawdziwych lub fałszywych, lub tylko jeszcze jeden teren do walk o władzę polityczną, — ten poprostu nie ma wyobraźni co do konkretnych robót możliwych w tej dziedzinie, albo ze złośliwości chce Akademję sprowokować do jak najwcześniejszego samobójstwa. Swego czasu program Izby obmyślany przez Peipera, Millera, Wata, Napierskiego i innych, te roboty dość szeroko zakreślił, a później i zwolennicy Akademji (Straż Piśmiennictwa Polskiego) ten program do swojego wcielili.

Słonimski poeta powinien był pouczyć kalamburycznie Słonimskiego logikułę i nudziarza, że istnieje coś gorszego niż „szabla i słowo" mianowicie „szablon i słowo".

Karol Irzykowski.

KAMPANJA O PRZYSZŁOŚĆ KULTURY W POLSCE

Zakończył się paromiesięczny okres kampanji przygotowawczej do akcji „Tygodnia książki polskiej". Najbliższe dni to okres realizacji rozległych planów propagandowych, zredukowanych wskutek trudnych warunków gospodarczych do najbardziej koniecznych elementów akcji bezpośredniej. Dotarcie do czytelnika i przekonanie go o konieczności stałego związku z książką, a jednocześnie uprzystępnienie książki, oto podstawowe zasady na których oparła się rozległa praca „Tygodnia". Trudno sobie zdać sprawę na ilu terenach należało przeprowadzić żmudną agitację, ile różnorakich czynników pogodzić i nauczyć używania instrumentu propagandy, ile wreszcie ofiarnej pracy włożono w techniczną stronę organizacji.

Trzeba jednak przyznać kierownikom „Tygodnia" że od pierwszego momentu kładli nacisk na jaknajdalszą samodzielność prowincjonalnych ośrodków akcji, że zarówno w systemie organizacji całości jak i poszczególnych części było miejsce na szeroką inicjatywę grup i jednostek. A przecież objęcie całej Polski tym wysiłkiem wobec wielkich trudności finansowych, z oparciem się na ideowych jednostkach, było naprawdę mierzeniem siły na zamiary. Nie dziś jeszcze jest czas na omawianie wyników Tygodnia. Tego daleko zamierzone wyniki okażą się później, można dziś jednak raz jeszcze rzucić okiem na te wszystkie odcinki pracy, które „Tydzień" książki dla swego dobra musiał przeorać.

Wielka wystawa „Książka w Polsce współczesnej" obejmująca przeszło 6.000 książek należących do powojennego dorobku piśmiennictwa polskiego, daje przystępny obraz zdobyczy nauki polskiej i literatury. Bibljoteczki wzorowe, uformowane według grup czytelniczych, staną się wzorami samokształcenia. Uzupełniają ten dział wykresy, mówiące plastycznemi zestawieniami o rozwoju myśli polskiej.

Na wystawie mówią instruktorzy o zakładaniu bibljoteczek własnych, społecznych i czytelń. Trwa wreszcie cykl odczytów o najrozmaitszych kwestjach związanych z książką.

W tym samym czasie krążyć będą wśród miast, miasteczek i wsi prowincji, auta sekcji wystaw objazdowych wiozące wystawy objazdowe. Kto wie czy obserwacje referentów i prelegentów na tych akcjach objazdowych nie będą źródłem najciekawszych informacyj i najgłębszego wglądu w potrzeby najszerszych warstw czytelniczych. Na czele tej akcji działającej w ścisłem porozumieniu z sekcją wojskową stoi p. mjr. Thun. (Sekcji wojsk. — mjr. Krzewski).

Niemniej ważne są poczynania sekcji czytelniano-bibljotecznej, która swoje plany rzutuje na okres dalszy, do końca zimy roku 1934. W planie tej sekcji, zamierzającej niejako przedłużyć „tydzień" na okres półrocza, znajdują się: odczyty, konkursy, wykłady i objazdy instruktorskie, prace nad uzupełnieniem i meljoracją bibljotek i t. p.

Do rozległych i ciekawych planów tej sekcji, na której czele stoi prof. Helena Radlińska powrócimy jeszcze.

Sekcja odczytowa, której prace mieliśmy możność przeglądać, wywiązała się bardzo dobrze z zadania przygotowania materjału dla prelegentów. Wykorzystano wszelkie dostępne źródła. Na rzecz książki polskiej mówić będzie: Rousseau i Pascal, biskup Ryszard de Bury i Adam Naruszewicz, Nietzsche i Wiktor Hugo.

Z głośników i przez słuchawki rozlegnie się żywe słowo feljetonów i słuchowisk, nie zbraknie dyskusyj i fragmentów najcelniejszych w najlepszem wykonaniu. Tydzień radjowy, pokrywający się z czasem tygodnia książki, stoi całkowicie pod znakiem książki

Szkoła przez szereg konkursów i akcję wskazówek bibljofilskich dotrze do ucznia. Ten przyszły miłośnik i nabywca książki miał sposobność powiększenia już dziś swej bibljoteczki przez wykazanie znajomości literatury ojczystej.

Ze sceny, z plakatu ulicznego, z kart pocztowych, zbliży się raz jeszcze do czytelnika jego ulubiony pisarz i ulubiona książka. Wreszcie propaganda uliczna zastosuje w swych poczynaniach wszystkie zdobycze które znalazły zastosowanie w akcjach na rzecz książki, jakie miały miejsce w latach ubiegłych we Włoszech czy Niemczech.

Ten łączny wysiłek skierowany na wszystkie pola kontaktu człowieka z książką, a pośrednio z zagadnieniami kultury i nauki polskiej, winien stać się punktem zwrotnym w dziejach książki w Polsce.

Byłoby rzeczą pożądaną by nawzór sekcji czytelnictwa i bibljotek, która słusznie przedłuża swe istnienie, powstała stała instytucja propagująca książkę.

Kiedy więc doraźna akcja Tygodnia zaczęła się i trwa według małego programu aktualnego, niech utrwali się przekonanie, że tylko stały kontakt z czytelnikiem i przystępność książki, mogą stworzyć podwaliny świetnej przyszłości książki w Polsce. Dobra i tania książka oto potrzeba chwili, a walka o tę książkę to kampanja o przyszłość kultury w Polsce.

Adam Galis.

NOWY TYP BIBLJOTEKI DLA MŁODZIEŻY

Dominującą cechą zainteresowań młodzieży współczesnej, atakowanej ze wszystkich stron przez rozrosły, ogromny świat rzeczy, jest *pożądanie konkretu*, pragnienie umiejscowienia i nazwania wszystkich rzeczy i zjawisk, składających się na skomplikowany, wielkokształtny obraz współczesnego życia. Z jednej strony bowiem od strony szkoły naciera suma faktów kulturalnych, suma idej nauki i sztuki, z drugiej samo życie dzisiejsze, wyprzedzające zastane metody i zakresy szkoły, zmusza do rewizji, do przystosowań i uzupełnień.

Wobec przeszłości istnieje jedna forma stosunku, wobec współczesności jest ich nieskończona ilość, pomnożona przez chaos okresu stabilizowania się wewnętrznego. Przeszłość, w swej zamkniętej ostatecznie formie, wypowiada się dla duszy młodzieńczej w dziele sztuki, w powieści historycznej, w relacji podręcznika historji, — teraźniejszość, jej stawanie się, zmusza do współdziałania, do współpracy nawet tę najmłodszą duszę, oddaną na łup filmowi, gazecie i żywemu słowu aparatu radjowego.

I niemniej, niż potężnie działająca na młodą duszę wizja ogromu techniki, zwycięstwa człowieka nad przyrodą, działa na tę duszę fakt istnienia państwowego, zestawiany ze świadomością dnia wczorajszego, lub przekrój życia społecznego, życia świata pracy. **Staje się ojczyzna-państwo domena najpiękniejszych, rzeczywistych legend, które przymierzane do bajecznych metafor, nie tylko że nie tracą na swej potędze i czarze, ale owszem, przewyższają je.** Bliskość, tak jak zbliżenie optyczne przedmiotu do oka, pozwala wniknąć w najmniejsze włókno materji, a jednocześnie przesłania świat swoim ogromem.

Polska, w swym wielokształtnym obrazie, wysuwa się więc na plan pierwszy. Staje się encyklopedją życia i jego wielokształtności, zaś na drugim, równoległym planie, rozciąga się obraz świata, połączony z Polską wielu nićmi życia politycznego, gospodarczego i ideowego.

Tak zapewne, w sensie idealnego rozmieszczenia proporcyj rzeczywistości Polski współczesnej i całego świata, pomyślana została nowa biblioteczka dla młodzieży, wydawana obecnie przez wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.

Pamiętamy wszyscy owe bibljoteki z czasów dawnych, kiedy książeczka z bibljoteczki uniwersytetów ludowych, miała w oszczędnem słowie pisarza zawrzeć wiedzę o Polsce, o świecie i człowieku.

Wspaniałe opowiadania **Wacława Sieroszewskiego** zaspakajały głód egzotycznego świata i człowieka liryki **Konopnickiej** były informacją o pracy, robotniku i jego doli. Rzecz przełamywała się w kształcie sztuki, dążąc od pierwszej chwili do rezygnacji ze swego piękna dla dobra wiadomości informacji.

Bibljoteka dzisiejsza wysuwa na pierwszy plan rzeczowość, fakt i dokument. A tam, gdzie zabiera głos pisarz, jest on świadomym bojownikiem swego odcinka uświadomienia, swojej placówki w cyklu tej samej pracy. Jest więc szereg takich nurtów zasadniczych, pokrywających się z podstawowemi zagadnieniami, dręczącemi duszę młodzieży współczesnej. Cykle te to: **walki o niepodległość, po ziemiach polskich, ujarzmiamy żywioły, bohaterzy, budujemy państwo i t. d.**

Podstawą staje się świadomość młodego obywatela, młodego Polaka współczesnego, który urodziwszy się w Polsce niepodległej, sięga myślą w niedawne boje o stan dzisiejszy, o państwo polskie. U podstaw wychowania musi stać piękny kult dla tych, co przeciw całemu światu, poszli do walki o Polskę i zwyciężyli.

W prosty, najrzeczowszy sposób, opowiada gen. **Felicjan Sławoj-Składkowski o tem, gdzie widział Komendanta, zanim Polskę wywalczył.** Wśród powszednich zdarzeń wojny, w okopach, na drogach wyścigu żelaza i krwi, przewija się w różnych sytuacjach postać Józefa Piłsudskiego. W najoszczędniejszem słowie i geście objawia się skupiona myśl Wodza, obserwowanego przez oddanego żołnierza. Dziś, kiedy życie wydobyło na wierzch ogromną wagę każdej decyzji ówczesnej, każdego dnia, jest lektura książeczki gen. Składkowskiego, dosłownem obcowaniem z ową epoką, z niedawną przeszłością, z ludźmi, dla których młody czytelnik znajdzie w swej duszy imię wielkości. Pokrywają się słowa prostej opowieści żołnierskiej z najintymniejszem przeżyciem młodego człowieka, który w okresie łamania się z obrazem świata i zjawisk, szuka punktu oparcia w ideale człowieka, przewodnika, mentora i wodza. (Cokolwiekby się naprzykład sądziło o mistyce ideologji Niemiec współczesnych, to jednak nie można zaprzeczyć, że w stosunku jednostki, szeregowca ruchu, w sublimacji tego uczucia, mieści się arcytrafna, psychologiczna postawa).

Ten pierwiastek miłości dla mistrza, dla wodza jest niezbędnym elementem duszy. A carlyle'owski kult bohaterów, zmodyfikowany przez istotę bohaterów współczesności, musi stać u podwalin światopoglądu młodzieńczego. Tu jest moment łączący cykl „walki o niepodległość" z cyklem „bohaterowie".

Rzućmy jednak jeszcze okiem na drugą książeczkę z cyklu pierwszego. Jest to przejrzysty, mocny wykład **p. Wacława Lipińskiego o wojnie 1919—1920.** I tu udało się autorowi utrafienie w ton rzeczowości, wyzyskanie siły atrakcyjnej czynu i faktu, bez uciekania się do wtórnych retoryzmów. Sprzymierza się w tej rzeczywistości ze słowem i rysunek, mapa, a szczególnie fotografja, dokument. To też obraz wojny polsko-bolszewickiej, wojny prowadzonej w obronie odzyskanej niepodległości, jest w relacji p. mjra Lipińskiego celowym wkładem do skarbca świadomości młodego człowieka.

W cyklu „Po ziemiach polskich" zabiera głos **Zygmunt Nowakowski. Jego „Puhar Krakowa"** jest doskonałem zbliżeniem atmosfery wspaniałego miasta do chłonnej ciekawości młodzieńca. Kraków jest marzeniem wielu dzieci. Wawel jest Sezamem. Otwiera się ten kraj zaczarowany Krakowa przez słowo pisarza, który Kraków naprawdę zna i kocha. Umiejętnie złączył Nowakowski w młodym podróżniku prowincjonalnym cechy młodego podróżnika i sportowca. W Antku z „Puharu Krakowa" odnajdzie siebie wielu młodych, a kiedy przyjdzie im przymierzać w rzeczywistości tę wizję artysty z prawdziwym Krakowem, to przekonają się, że po jednem olśnieniu czeka ich wiele innych, niemniej pięknych i ważkich. Kraków, jak wszystkie Nowe Jorki i Pekiny zajmie raz na zawsze miejsce w młodem sercu czytelnika — „podróżnika".

A oto inny świat, ziemie śląskie, spowite dymami fabrycznemi i pyłem węglowym. Opowieści **Gustawa Morcinka** zbliżają przedewszystkiem do ludu śląskiego. **„W zadymionem słońcu"** mówią ludzie osobliwym swym językiem — wielka jest Polska i różny w niej człowiek mieszka — a praca ich ciężka i żmudna, jest pracą maszynisty przy wielkiej lokomotywie życia. Z książki Morcinka wyłania się obraz Śląska, jego walki o Polskę i film codzienności górniczej.

Tu fragmentaryczność zdarzeń i opisów staje się czynnikiem wielostronności obrazu. I wbrew niektórym ocenom działa w sposób właściwy, skuteczny.

Cykl **„Ujarzmione żywioły"** przynosi popularny wykład **p. Marjana Grotowskiego o „Źródłach światła".** Wykład ten przeczyta z rzetelną satysfakcją nietylko ów chłopiec czy dziewczyna 12—15 letni, dla których książeczka jest przeznaczona, ale i każdy dorosły. Dziś bowiem są młodzi o wiele bardziej u courant świata techniki, jego wewnętrznych spraw rozwojowych, niż my, którzy przebywamy w górnych regjonach wniosków i oskarżeń techniki. Ten wykład mówiący w pragmatycznym porządku o losach światła wytwarzanego przez ludzi od pierwszych usiłowań do najnowszych zdobyczy elektryczności, jest wyrazem owej „nowej rzeczowości", która zastępuje Robinsona i Karola May'a dni wczorajszych. Fizyka przechodzi do czytelnika tutaj nie przez bezbarwny przeważnie fakt i wzór podręcznika, ale przez powieść wzorowaną na najlepszych przykładach współczesnych popularyzatorów.

Ta metoda **„beletryzacji rzeczywistości"** osiąga swój punkt szczytowy w książce p. **E. Szelburg-Zarembiny „Dom wielki jak świat".** Być może, że dla czytelnika starszego będzie metoda użyta przez autorkę zbyt uproszczoną, a konstrukcja poszczególnych opowiadań zbyt podobną. Jednak piszący te słowa, wycofał się z trudnej do przeprowadzenia próby samoprzystosowania się i oddał głos młodemu czytelnikowi. I cóż się okazało. Oto nprz. metaforyczna konstrukcja opowiadania „Ojciec Bolka", była dla młodocianego odbiorcy czynnikiem jego radości. 11-letni krytyk pogłębił tę równoległość postaci bohaterów filmowego i „ojca Edka", swoim własnym rodzinnym obrazem. Tak jest, powiedział, tam na obrazie tylko tak udają, a ci blacharze chodzą naprawdę na krawędzi domu, na piątem piętrze. I znów romantyka rzeczywistości odniosła walne zwycięstwo nad bajeczną fantastyką filmu, rozporządzającego nieskończonością.

Obserwowanie duszy młodzieńczej zzewnątrz, które razić może swym dydaktycznym tonem, staje się w świadomości młodego czytelnika jego własnym wkładem wynalazczości psychologicznej. Dlatego opowiadania p. Szelburg-Zarembiny spełniają swoją rolę w zupełności.

Ciekawe pisarstwo autorki „Sygnałów" znalazło w tych stylizacjach, opowieściach „stosowanych", nowy, interesujący wyraz.

Dwie pozostałe książeczki bibljoteki „Polska i świat współczesny" to prace **por. Janusza Meissnera „Zwirko i Wigura, załoga R. W. D." (z cyklu: bohaterowie) oraz H. Boguszewskiej „Czerwone węże" (z cyklu: budujemy państwo).**

Obydwie książeczki są pierwszorzędną lekturą dla młodzieży. W jednej i w drugiej element narracji, materjał rzeczowy, technika obserwacyj i opisów, przystosowane są do potrzeb i zakresu myśli czytelnika-odbiorcy, z umiarem i zrozumieniem wag i każdego słowa, nie mówiąc już o ciekawym doborze ilustracyj.

„Polska i świat współczesny" jest więc doskonałym, literacko-społecznym odpowiednikiem tej lektury szkolnej, jakiej brakło dotychczas. Zapowiadane nowe prace, mające się ukazać w tej bibljoteczce, jak: **Morcinka „Dzieje węgla", M. Janowskiego „W stolicy", Ossendowskiego „Afryka" czy ś. p. Małaczewskiego „Z bojów syberyjskiej brygady",** oraz szereg innych, zapowiadają ekspansję bibljoteczki na szereg terenów, których podboju łaknie dusza młodzieży współczesnej, spragniona wiedzy o Polsce, świecie i człowieku. (A. G.)

W SPRAWIE „MIĘDZYNARODOWEJ KOLEKCJI SZTUKI" W ŁODZI

Od grupy „Ryngraf" otrzymujemy list, który w myśl zasady: audiatur et altera pars poniżej podajemy:

Szanowny Panie Redaktorze!

W 5 numerze tygodnika „Pion" ukazała się notatka p. Konrada Winklera p. t. „Międzynarodowa Kolekcja Sztuki w Łodzi". W notatce tej p. K. Winkler podejmuje obronę kolekcji przed „ultranarodową" opozycją artystów plastyków w Łodzi.

W kilku słowach pragniemy sprostować nieścisłe wiadomości autora notatki.

1. Grupa „Ryngraf" będąca na tutejszym terenie wyrazicielką poglądów na sztukę większości plastyków zwalcza w miejscowem piśmie „Kurjer Łódzki", prądy międzynarodowe w sztuce, a w szczególności w sztukach plastycznych. Walkę prowadzi jednak z bezideowością tych prądów i zacieśnieniem zainteresowań modernistów do zagadnień formalnych i fakturowych. Modernizm w obecnej fazie swojego rozwoju nie uwzględnia według naszego przekonania rzeczywistych zagadnień stających przed sztukami plastycznemi.

2. W żadnym artykule krytykującym kolekcję nowoczesnej sztuki w Łodzi, nie było mowy o jej zlikwidowaniu. Członkowie grupy „Ryngraf" nic nie mają wspólnego z obrazoburcami lub hitleryzmem. Uważamy natomiast, że kolekcja ta jest bardzo potrzebną, gdyż naocznie wykazuje do czego doprowadza „ultramodernizm" w sztukach plastycznych. Jest ona dla nas ostrzeżeniem, mówiącym dobitnie o tem, że do żywego zagadnienia sztuki nie można przystępować z ciasną, choćby fanatycznie wyznawaną, lub modną doktryną.

3. Uważamy, że odbarwiona z pierwiastków narodowych forma artystyczna (jak to czynią moderniści) zostaje równocześnie odczłowieczoną i skutkiem tego przestaje być sztuką, chociaż rości sobie pretensje do sztuki czystej. Ponieważ sztuka żywa jest zawsze związana z podłożem nietylko technicznem ale i psychicznem, a „ultramoderniści" spekulują formą artystyczną z form technicznych — zdaniem naszem sztuka ta mimo pozory nie jest sztuką rzeczywistą.

Z wielką przyjemnością witamy zawsze wszelkie naprawdę poważne wyjaśnienia twórczości, mniejsza o to skąd pochodzą. Za warunek jednak stawiamy to, że muszą się wszechstronnie pokrywać z rzeczywistością, to jest tem co zdobywa człowiek przez uczciwe poznanie.

Za Grupę Ryngraf
Franciszek Walczowski

KURJER PORANNY

największy dziennik stołeczny dla inteligencji,

wychodzący pod redakcją Wojciecha Stpiczyńskiego

zamieszcza artykuły najlepszych publicystów, znakomite krytyki i feljetony, posiada bogaty dział gospodarczy, własnych korespondentów w kraju i zagranicą. Cena wraz z dodatkiem ilustrowanym i tomikiem powieści co tydzień zł. 5.— miesięcznie wraz z przesyłką. Urzędnicy państwowi i komunalni zł. 3.75.

Zamówienia przyjmuje Administracja

Warszawa, Marszałkowska 148, telefon 542-30.

NAD CZEM PRACUJĄ PISARZE?

— **Prof. Juljusz Kleiner** pracuje nad monografją o Mickiewiczu. Pierwszy tom tej monografji wyjdzie z druku już w pierwszych dniach grudnia.

— **Juljusz Tuwim** wydaje tom przekładów wierszy lirycznych Puszkina, oraz tom wierszy satyryczno-parodystycznych p. t. „Jarmark rymów". Pozatem poeta ukończył już oddawna zapowiadany „Słownik pijacki".

— **Kazimierz Wierzyński** wydał w ub. tygodniu w stworzonej przez Jakóba Mortkowicza nowej serji „Pod znakiem Poetów", zapowiadany już przez nas tom wierszy p. t. „Gorzki Urodzaj", zawierający poezje amerykańskie i liryki z ostatnich lat.

— **Józef Czechowicz** wydaje nowy tom wierszy p. t. „Z błyskawicy", który ukaże się po świętach. Będą to liryki z ostatnich dwóch lat. Następnie wydaje wspólnie z Franciszką Arnsztajnową dwugłos poetycki p. t. „Stare Kamienie", na który złożą się wiersze o starym Lublinie. Tę ostatnią książkę wydaje swym nakładem Lubelskie Koło Miłośników Książki.

— **Władysław Sebyła** ukończył pracę nad nowym poematem p. t. „Koncert Egotyczny", który będzie drukowany w jednym z najbliższych numerów „Pionu". Utwór ten wraz z poematem „Młyny" i szeregiem nokturnów ukaże się jako nowy tom poezji o tytule jeszcze nieustalonym.

— **Cezary Jellenta**, po wydaniu swoich „Wiatraków Don Chichota", pracuje obecnie nad monografją Otwocka, która będzie stanowić pierwsze tego rodzaju dzieło literackie, oparte m. i. na ścisłych danych lekarskich.

— **Stanisław Ryszard Dobrowolski**, autor „Pożegnania Termopil" i „Autoportretu wydaje w najbliższym czasie nowy tom wierszy p. t. „Wróżby", poczem przystępuje zaraz do realizacji dawno zamierzonej powieści współczesnej.

KONRAD WINKLER

MALARSTWO JULJUSZA KOSSAKA I WACŁAWA PAWLISZAKA

(na marginesie wystaw w Domu Sztuki i w Tow. Zachęty Szt. P.).

Zrzędni, purytańscy arcykapłani nowoczesnej plastyki nie mają zapewne zbytniego zaufania do malarstwa tak wybitnie „tematowego" i „literackiego" — jaką jest niewątpliwie sztuka Juljusza Kossaka. Ale tematowem było również malarstwo Delacroix i Goyi i tego największego majstra faktury, Watteau. Trudno obarczać ich odpowiedzialnością za to, że w taki a nie inny sposób pojmowali sztukę, że ich rodzaj plastycznej orjentacji ściśle odpowiadał postawie intelektualnej i uczuciowej ich epoki. W sztuce polskiej w drugiej połowie XIX w., tematowość w plastyce była ponadto usprawiedliwiona powszechnem pragnieniem ucieczki przed rzeczywistością w zaczarowany świat (tradycji), gdzie w wyidealizowanem do ostateczności tle historyczno-obyczajowem zatracały się częstokroć indywidualne rysy poszczególnych postaci. W sztuce francuskiej życiowa treść obrazu miała jednak zawsze znaczenie podrzędne. Podczas gdy u nas, z małemi wyjątkami, poszukiwanie formy odpowiedniej do zamierzonej treści życiowej, odbywało się najczęściej podświadomie i to niejednokrotnie na koszt wewnętrznej logiki malowidła — w malarstwie francuskiem dyscyplina intelektualna i bezpośredniość malarskiego instynktu prawie zawsze dominowały nad uczuciowemi predyspozycjami artysty. W rezultacie, skala problematów była tam znacznie wyższa.

A jednak z biegiem czasu nauczyliśmy się szanować i cenić malarstwo Juljusza Kossaka. I nawet wówczas, kiedy z lamusa naszego dorobku plastycznego w XIX w. wydobyliśmy na światło dzienne genjalnego romantyka, Piotra Michałowskiego — sztuka Kossaka nie wiele na tem straciła. Romantyzm bowiem tego ostatniego należał już niewątpliwie do innej epoki. Na wystawie w Domu Sztuki, mamy sposobność zaobserwować w jaki sposób sztuka Juljusza Kossaka w miarę narastania wartości własnych, indywidualizowała się, jak zacząwszy od bezpretensjonalnych a szczerych studjów przyrody, wspinać się zaczęła na wyższe piętro myśli plastycznej. Od rysowanych z wielkiem zamiłowaniem a przytem pełnych bystrej obserwacji szkiców z natury — do zamkniętych w sobie i logicznie zrównoważonych kompozycyj. Ta zasada organizowania obrazu wedle zgóry przyjętego założenia, była raczej objawem dobrego smaku i pewnej dyscypliny duchowej, aniżeli świadomej woli malarza. Tak czy owak — Juljusz Kossak w swej realistycznej interpretacji przyrody, mimo dużej dbałości o wierne odtworzenie tła i akcesorjów — jest daleki od naturalizmu z całą jego przypadkowością formalnych i barwnych skojarzeń i gdyby nie zbytnia pedanterja w opracowaniu zbędnych a nieistotnych szczegółów i naiwne częstokroć ubieganie się o ilustracyjną jasność i anegdotyczną czytelność wyobrażonych scen i sytuacyj — malarski wyraz jego kompozycyj, byłby bardziej zdecydowany i essencjonalny.

Odmienną nieco i mniej wartościową aparycją jest ideowy uczeń i następca Kossaka, Wacław Pawliszak. Zachęta dobrze zorganizowała wystawę tego zapomnianego prawie artysty, który jako jeden z ostatnich epigonów romantycznego malarstwa w Polsce ,obok szeregu żywych w barwie, chociaz mniej szczęśliwych w układzie obrazów batalistycznych — stworzył kilka dobrych portretów, jak np. portret konny Jana Kazimierza. Na sztuce Pawliszaka (zm. w r. 1904-tym) widać już niemałe wpływy impresjonizmu, co w dużym stopniu ożywiło jego paletę (w sensie dopuszczenia do gry barw kontrastujących) — jakkolwiek do rozwinięcia się jakiegoś własnego systemu u tego artysty bynajmniej się nie przyczyniło. Sztuka Pawliszaka ulegająca sugestjom romantycznych akcesorjów XIX w., w swych szczegółowych transpozycjach życia polskiego na kresach u schyłku dawnej Rzeczpospolitej — ma jednak w sobie niemało pierwiastków rasowych i rasowego sposobu odczuwania świata i dzięki temu zasługiwała istotnie na przypomnienie.

DOKOŁA TEATRU

TEATR LETNI

„Pieniądz nie jest wszystkiem" — komedja Władysława Bus-Feketego — przekład Czesława Strzeleckiego — reżyserja Zbigniewa Ziembińskiego — dekoracje Stanisława Jarockiego.

Reportaż Władysława Bus-Feketego podpatrzony został na podwórzu. Jest to ruchoma fotografja czynszowego domu, w czem sztuka przypomina „Ulicę" Elmer Rice'a. O ile jednak tam Elmer Rice starał się posegregować życie domu według pewnej ważkości zjawisk, wydobyć istotny dramat, schwycić ludzi w momentach ich wyjątkowych wydarzeń życiowych, o tyle znowu Bus-Fekete zadowolił się wydobyciem płaskiej powszedniości.

I tu i tam pokazano nam życie kilku-piętrowego domu. I tu i tam obsadzono typami poszczególne okna, rozpinając akcję na sieci pięter, co ma nam sugerować wszechstronność zamkniętego w klatkę murów kawałka współczesnego życia. Kiedy jednak tamten autor świadomie używa domu jako powierzchownej ilustracji a w pewnym momencie niejako symbolicznie rozbijając szybę, rozbija tę także powierzchowność i zanurza nas w głębię krwawego ludzkiego dramatu, stanowiącego istotę „Ulicy", to tu Fekete, rzecby można, ślizga się po powierzchni tej szyby. Właściwie cała sztuka mogłaby być raczej dobrą ilustracją do drugiej istotnej akcji, tembardziej że troski tych ludzi są nieskomplikowane, błahe i banalne, nie mogące same sobą zdobyć dla sztuki walorów poważnego dzieła scenicznego.

Jeśli już porównujemy obie sztuki, to rzecz charakterystyczna, „Ulica" nie otwierając nam scenicznie wnętrza domu, ukazuje nam to wnętrze artystycznem podejściem — do głębi spraw człowieka, reportaż Feketego otwierając na oścież ściany mieszkań, w których się dzieje sztuka na oczach widza, nie ukazuje nam jednak istotnego wnętrza.

Treść sztuki rozproszkowana jest na drobne dialogi podwórzowe, z których klei się życie oficyny. Główną jednak uwagę a zarazem swoją sympatję skupia autor na dwóch postaciach, siostrzeńcu dozorcy domu, sportowcu o światowej sławie, a zarazem tęgim nieuku, oraz na służącej Marji, która jest właściwie zamaskowanym profesorem.

Łatwo dostrzegalną jest rzeczą, że ci dwoje, acz zaczynają zrazu na ostro, dojdą szybko i łatwo przed zapadnięciem kurtyny do szczęśliwego porozumienia.

Sama sztuka mimo zdecydowanie płytkiego podejścia do tematu jest skonstruowana dobrze, w doborze typów podpatrzona zręcznie. Scenę napełnia żywem tempem, tak że miejscami dygota nieomal życie domu od krwistości i temperamentu. W doborze jednak środków artystycznych okazał autor niejednolite zamiłowanie przeplatając fakturę farsową z komedjową.

Istotna wartość sztuki leży w uchwyceniu udatnej i dowcipnej satyry na aktualne przejawy codziennego życia, chociaż przez twórcę niedostatecznie zgłębionego. Możnaby w sztuce dopatrywać się szeregu wad, wytykać szablon w ustawianiu typów, dobieranych według klucza kalendarzy humorystycznych, z czego wychodzi dozorca pijak, służące głupie i pyskate, sportowiec jak zawsze idjota, właściciel domu łajdak, a jego żona ksantypa, możnaby zarzucać autorowi, że się nie odważył sprzeniewierzyć tak zastarzałemu katechizmowi, można mu wogóle stawiać dalsze zarzuty, niemniej jednak trudno jest zaprzeczyć sztuce humoru, tem łatwiej przez widza przeżywanego, że gra zespołu wyciągnęła z akcji wszystkie możliwości komizmu. Nie przyszło to zespołowi z trudnością, bo proste, jednolite w budowie role sztuki należą do kategoryj typowych samograjów. Tembardziej jednak wypada podkreślić sumienność wykonawców, którzy dołożyli starań nawet w odtwarzaniu drobnych szczegółów akcji i dali widowisko jak najbardziej jednolite, tak, że trudno wyróżniać doskonałego Hnydzińskiego czy Znicza, Janecką czy Różańską. Przekład p. Strzeleckiego wydobył krwistość dialogu.

M. R.

ZWYCIĘSTWO ABONAMENTU TEATRALNEGO

Ciągłość w zjawiskach życia kulturalnego jest gwarancją jego normalnego rozwoju. Najbardziej chyba sprawdza się ta zależność na tym terenie sztuki, który najbardziej podlega fluktuacjom dnia, na terenie teatru. To też kiedy nowopowstałe Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce przystąpiło do realizowania swego programu w teatrach Polskim i Małym wyłoniło się z miejsca zagadnienie stworzenia stałego związku między producentem sztuki teatrem, a konsumentem widzem, związku, który z jednej strony stworzy mocne podstawy materjalne dla rozwoju teatru z drugiej zaś da widzowi możność oddziaływania na poczynania swej sceny, słowem zbliży teatr i człowieka.

Z tych założeń powstała instytucja abonamentu teatralnego. U jej podstaw stała przedewszystkiem chęć uprzystępnienia teatru jaknajszerszym sferom przez zredukowanie do minimum cen biletów i stworzenie szeregu tych drobnych ale ważnych udogodnień, które przesądzają o praktycznej, życiowej wartości abonamentu.

Pierwsze spektakle abonamentowe w teatrze Polskim i Małym wykazały jaknajdobitniej, że wprowadzenie abonamentu teatralnego przyciągnęło do teatru setki ludzi, dla których teatr był doniedawna luksusem i wyrwą w skromnym budżecie.

Zwycięstwo abonamentu teatralnego jest w dalszych swoich konsekwencjach czemś nader ważnem dla rozwoju teatru w Polsce. Na mocnej podstawie zespołu abonentów, który w chwili obecnej osiąga liczbę 10.000 osób w Warszawie i zapowiada podwojenie w najbliższym czasie, będzie rozwijać się i utrwalać kult prawdziwej sztuki scenicznej.

Repertuar teatrów Polskiego i Letniego w nadchodzącym sezonie przyniesie abonentom najwszechstronniejsze widzenie teatru przeszłości i teraźniejszości. Obok wielkich twórców polskich i obcych ubiegłych czasów przemówi ze sceny, żywe słowo współczesne. Już w najbliższym czasie równocześnie z premjerą londyńską odbędzie się w Warszawie premjera nowej sztuki Bernarda Shawa „Nad przepaścią" w przekładzie Florjana Sobieniowskiego.

Sztuka ta zgromadzi jeden z najlepszych zespołów wykonawców z Zelwerowiczem, Junoszą-Stępowskim, Brydzińskim na czele.

MŁODZIEŻ A „KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI"

Pierwsze przedstawienie popołudniowe „Kościuszki pod Racławicami" przeznaczone dla młodzieży szkolnej, stało się wielkim triumfem sztuki i młodych widzów.

Reakcja młodzieży na żywą historję, przemawiającą ze sceny teatru, objawiła się zarówno w głębokiem przejęciu jak i nieokiełzanym śmiechu.

W przerwach odbywały się w foyer teatru Polskiego istne batalje racławickie z błyskawicznym podziałem ról: Ja jestem Kościuszko, a ty Głowacki!

„Ocaliłem skrzydło!" sentencja imć Lichockiego - Zelwerowicza zdobyła sobie szeroką popularność wśród rozbawionej serdecznie ale i głęboko przejętej młodzieży, dla której „Kościuszko pod Racławicami" stał się najżywszą lekcją historji.

Sobotnie przedstawienia popołudniowe dla młodzieży w teatrze Polskim są nieocenionym współczynnikiem wychowania artystycznego o społecznego najmłodszych.

OFENZYWA KSIĄŻKI OBCEJ

Poza szturmem przekładowym z literatur obcych odbywa się obecnie wzmożona ofenzywa książki obcej, przeważnie niemieckiej na nasz rynek księgarski. Na witrynach większych księgarń ukazały się wspaniałe wydawnictwa popularno-naukowe i literackie, które zarówno swą szatą zewnętrzną jak i niską ceną niezwykle przyciągają klijenta.

Cały szereg takich książek nie pretendujących do precyzji naukowej a zaspakajających głód wiedzy w poszczególnych dziedzinach wydało ostatnio wydawnictwo Phaidon-Verlag w Zurychu, operujące przeważnie na terenie Austrji. I tak np. wspaniale wydano „Weltgeschichte des Theaters" Józefa Gregora, Klabunda „Historję literatury", różnorakie antologje liryki i prozy niemieckiej i t. d. Wszystkie te książki drukowane na pięknym paperze, doskonałą czcionką, oprawne w półpłótno, drukowane są w przeciętnych nakładach 100.000 egzemplarzy.

Ta wysokość nakładu umożliwia zapewne wybitnie niskie kalkulowanie cen tych wydawnictw.

Ofenzywa książki niemieckiej idącej przez tereny Szwajcarji lub Austrji godzi w podstawy rozwoju księgarstwa polskiego a pośrednio w książkę. Wypadałoby się więc zająć bliżej tą kwestją zwłaszcza dziś, w obliczu „Tygodnia książki polskiej".

ras. 12442/1/9

CO TO JEST STYL?

Przyglądając się stylowi wybitnych pisarzy stwierdzamy, że niejednokrotnie mają oni swoje ulubione wyrażenia, zwroty. Słowacki lubił kolor błękitny, Tetmajer zadumanie, Barrès słowa: „magnifique", „discipline" i t. d. To jest temat do interesującej ankiety językowej.

Barrès w niewydanym dotąd fragmencie swoich „Cahiers" w ten sposób określa styl: „Styl to nie są słowa. Gautier ze swem bogactwem słów, ani Richepin nie są wielkimi pisarzami. Pascal używa niewielu słów. Styl to jest charakter, to jest prąd duchowy, dreszcze uczuciowe, duchowe śmiałości, rozmach... Wielki pisarz pozwala na schwycenie go w wewnętrznym akcie myślenia... Znajduje się w nim coś ze śpiewu i z tańca. Chcę powiedzieć, że żyje on instynktem rytmicznym. Jest to inkantacja. Nikt nie zdoła opisać jego uroku.

POLONICA

W miesięczniku rumuńskim „Viata Romaneasca" pojawiło się tłumaczenie noweli polskiej pióra Marji Dąbrowskiej p. t. „Janek", w przekładzie p. Dr. Heleny Eftimiu. Musimy przy tej okazji przypomnieć kilkuletnią już pracę p. Eftimiu na polu literatury polskiej i gruntowne jej nad nią studja, których rezultatem było kilka poprzednich już tłumaczeń.

Ostatnio na scenie nowojorskiego teatru A. Nazimowej znalazła się sztuka p. M. Szczepkowskiej „Sprawa Moniki" w przekładzie M. Kwapiszewskiego (byłego konsula polskiego). Sztuka ta obiegła ze znacznym podobno powodzeniem kilka scen Stanów Zjednoczonych, jak w Pittsburgu, Filadelfji, Waszyngtonie i innych. Jeśli z radością witamy fakt zdobycia scen Ameryki przez naszą literaturę dramatyczną, nasuwa się mimowoli pytanie, dlaczego inne, niemniej wartościowe sztuki nie znajdują dróg na sceny amerykańskie?

Rzymski miesięcznik „Costruire" w numerze październikowym przynosi nam ciekawe studjum Rerzo U. Montini o „Janie III Sobieskim, zbawcy świata chrześcijańskiego". W swym krótkim szkicu Montini przeprowadza ciekawą paralelę pomiędzy zwycięstwem Króla Sobieskiego pod Wiedniem a odparciem z pod Warszawy nawały bolszewickiej przez Marszałka Piłsudskiego, mówiąc: „W 1920 tak samo jak i w 1683 stała Azja przeciw Europie — ku obronie zaś Europy staje oba razy Polska".

Na rynku włoskim pojawiła się wydana niedawno przez „Societa del Rinascimento del Libro" książka Giovanni Mariotti o Szopenie. Studjum swoje pisarz włoski oparł na słowach Heine'go, powtarzając za nim na wstępie:

„Szopen jest genjuszem w całem tego słowa znaczeniu. Jest on nietylko wirtuozem ale i poetą, zdolnym odzwierciedlić prawdę ducha; jest on muzykiem poetą i nic nie da się porównać z radością, jakiej doznajemy słuchając jego improwizacji. W tych chwilach nie jest on ani polakiem, ani francuzem, ani niemcem: pochodzi z kraju Mozarta, Rafaela, Goethego; jego prawdziwą ojczyzną jest Kraj Poezji".

Praca Mariotti przynosi nam obfitą biografję i analizę szczegółową twórczości muzycznej Szopena, rzucając specjalnie wiele nowych i ciekawych danych i naświetleń z okresu jego życia paryskiego. Mariotti przeciwstawia się opinji, imputowanej przez wielu poprzednich krytyków o destrukcyjnej roli George Sand w życiu Szopena. Poświęca temu trudnemu i delikatnemu tematowi całe stronice, ukazując nam z rzadką i subtelną przenikliwością istotę tej dziwnej miłości. Wiele miejsca poświęca też rozważaniom o wpływach francuskich czy włoskich w twórczości Szopena, by wreszcie jednak stwierdzić — że, pełne odźwierciadlenie w nim znajduje atmosfera duchowa świata, nie zaś kraj, który go przygarnia. Pozostawał zawsze Polakiem, jako artysta nie mniej niż jako człowiek.

Przyniósł ze sobą na świat indywidualność i temperament wybitnie i mocno swoisty, tak, iż żaden wpływ cudzej sztuki nie mógł przyćmić ani na moment jego własnej osobowości".

Książkę swą kończy Mariotti cytatem okrzyku Schumanna, rzuconego nad grobem Szopena — „Dusza muzyki przeszła ponad światem".

NOTATKI

— Nouvelle Revue Française zapowiada ukazanie się szeregu książek, dotyczących Stanów Zjednoczonych Ameryki: Bertrand de Jouvenel: „La crise du capitalisme americain". Książka o charakterze reporterskim w wielkim stylu. Podobnie Andrzej Maurois w tomie p. t. „Chantiers americains" — opisuje swoje wrażenia z podróży, odbytej w czerwcu i lipcu 1933 do Ameryki. — J. W. Leonard autor książki „The tragedy of Henry Ford" — „Tragedja Henryka Forda", opowiada o dyktatorze z Detroit bogato i barwnie. Opisuje całe życie miljardera, pochodzącego z ojca emigranta irlandzkiego i matki niemki, początki jego karjery przemysłowej, zarzuca mu brak znajomości technicznych zasad, wyczerpująco uzasadniając to na konkretnych przykładach. Autor stawia następujące zarzuty zasadnicze królowi samochodowemu: stworzenia systemu pracy przy taśmach, co prowadzi do całkowitego ogłupienia robotnika, zmuszonego do powtarzania drobnej czynności miljony razy tak, iż wkońcu staje się niezdolny do innego zajęcia, a następnie — stworzenie systemu szpiegostwa, obejmującego wszystkich: tak najniższego robotnika jak i naczelnych inżynierów aż do ich prywatnego życia włącznie.

— Znany twórca pojęcia klerka, o czem w ostatnich czasach wiele pisała nasza prasa literacka, Julien Benda wydał „Discours à la nation européenne", który był niedawno drukowany w „Drodze" (nr. 9 i 10). Autor występuje tutaj wyraźnie przeciwko hypernacjonalistycznym prądom jak np. hitleryzmowi.

— Słynna obecnie w Sowietach książka Szołochowa „Poruszony ugór", ukazuje się w przekładzie na francuski.

— Fernande Olivier ogłosiła pracę p. t. „Picasso et ses amis" — Picasso i jego przyjaciele. Rzecz traktuje o kulisach współczesnego malarstwa i obejmuje okres dziesięcioletniego współżycia z wielkim malarzem.

— Marcel Raymond ogłosił „De Baudelaire au Surréalisme". — Od Baudelaira do nadrealizmu — studjum o współczesnym ruchu poetyckim. Obejmuje ono w ramach zakreślonych tytułem wszystkie kapitalniejsze zjawiska poezji francuskiej jak Claudel, Valery, Apollinaire, Dada i t. p.

— La Nouvelle Revue Française przygotowuje antologję poetów z przedmową Pawła Valery. Obejmuje ona pięćdziesiąt sześć nazwisk, między innemi i Rainera — Marję Rilkego, przeważnie poetów żyjących, z wyjątkiem wyżej wspomnianego Rilkego oraz Apollinaire'a, Mallarme'go i paru innych. Brakuje nazwisk nadrealistów oraz Jammes'a, Soupault'a, Jarry'ego, aby narazie ograniczyć się do ważniejszych.

— Dalszym dowodem niesłabnącego zainteresowania się poezją we Francji jest książka Maksyma Formont'a p. t. „Les Symbolistes" — Symboliści, na którą składa się studjum autora wraz z notatkami oraz wybór tekstów 21 autorów wraz z 16 portretami. Znajduje się tam wiele nazwisk zupełnie nieznanych szerszej publiczności, a stanowiących swego czasu kadry żywej, walczącej poezji. Należy podkreślić to mnożenie się antologij i studjów. wyłącznie obejmujących poezję, podczas, gdy u nas nieliczne wysiłki teoretyczne i praktyczne garstki poetów przebrzmiewają bez najmniejszego echa.

— „Mercure de France" wydał niedawno wiersze łacińskie Karola Baudelaire'a, który na nich zaprawiał się w rzemiośle poetyckiem, mającem później w całym blasku jego talentu rozkwitnąć „Kwiatami zła". Wiersze te odznaczają się wielką biegłością i opanowaniem mowy łacińskiej przez jednego z największych prekursorów poezji francuskiej i światowej.

„Klasycy socjologji" A. Hertza

Miesięcznik „Wiedza i Życie", który już od szeregu lat poświęca swe łamy popularyzacji nauki i kultury, podjął obecnie nową akcję przez zapoczątkowanie wydawnictwa specjalnej bibljoteki o charakterze monograficznym.

Rosnące zainteresowanie dla zagadnień społecznych pociąga za sobą potrzebę opracowania dla ogółu dziejów myśli socjologicznej i przedstawienia głównych jej doktryn. W literaturze naszej brak takiego opracowania dawał się dotkliwie odczuwać. Książka Hertza jest wypełnieniem istniejącej luki. Daje ona omówienie poglądów szeregu „klasyków" myśli socjologicznej.

Następujący socjologowie zostali tu uwzględnieni: August Comte, Herbert Spencer, Alfred Fouillée, Gobineau, Vacher de Lapouche, Chamberlain, Karol Marx, Emil Durkheim, szereg innych. Łatwość wykładu i przystępna cena czyni z książki Hertza podstawowy podręcznik, z którego z pożytkiem korzystać mogą zarówno dorośli, jak i młodzież.

Piękna szata zewnętrzna książki i jej przystępna cena (zł. 4 — w opr. zł. 5), niewątpliwie przyczyni się do jej szerokiego rozpowszechnienia.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

BELETRYSTYKA:

A. de Saint Exupéry: Nocny lot, 1933. Gebethner i Wolff, str. 164.

Wacław Gąsiorowski: Nihiliści, powieść historyczna. Warszawa 1933. Dom Książki Polskiej.

Helena Zakrzewska: Białe róże, powieść dla młodzieży. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej, str. 251.

Rena Szerzeniewska: Rozpętane zmysły, powieść. Wyd. Neuman, Tomaszewski, str. 210.

POEZJE:

K. A. Jaworski: Na granitowym maszcie — poezje. 1928 r.

K. A. Jaworski: Więcierze — wieniec sonetów. 1932 r.

Sergjusz Jesienin: Wybór poezji. Serja I. Przekład K. A. Jaworskiego, 1931 r.

Jalu Kurek: Usta na pomoc. F. Hoesick. 1933.

Jalu Kurek: Mohigangas. Poezje. 1934. F. Hoesick.

Marjan Turwid: Dni wielkiej doliny. Poezje. Bibljoteka Wici Wielkopolskich.

Georgij Sorgonin: Siewiernoje. Stichi.

M. I.: Literaturnyj czwert'riecznyj żurnał. Kniga I. Osiń 1933 r.

DRAMAT:

Romuald Balawerder: Żołnierz Nieznany. Sztuka w 3 częściach.

Ella Oleska: „W sidłach szatana", str. 16, Gebethner i Wolff, Kraków, 1933 r.

Ella Oleska: „Wawelska Pani", misterjum ku czci król. Jadwigi, str. 16. Gebethner i Wolff, Kraków, 1933 r.

Kazimierz Missona: „Teatr szkolny" (na podstawie utworów polskich pisarzy), str. 47, Skład w Księgarni P. S. L. Trembowla, 1933 r.

Kazimierz Misona: „Pod Wiedeń!" Widowisko dramatyczne z czasów kr. Jana III. Księgarnia T. S. L., Trembowla, 1933 r.

STUDJA KRYTYCZNO-HISTORYCZNE:

M. Kridl: Literatura polska wieku XIX. Wydanie skrócone. Tom I. Stron 222.

Tadeusz Zieliński: Religja Rzeczypospolitej Rzymskiej, część I. Wydawnictwo J. Mortkowicz, str. 383.

Aleksander Hertz: Klasycy socjologji. Nakładem „Wiedzy i Życia". Warszawa 1933. Str. 149.

Marjan Zdziechowski: Węgry i dokoła Węgier. Wilno 1933.

HISTORJA SZTUKI:

Tadeusz Dobrowolski: Sztuka województwa śląskiego. Katowice MCMXXXIII. Nakładem Muzeum Śląskiego w Katowicach. Stron 151.

Krystyna Sinko: Santi Gucci Fiorentino i jego szkoła. Kraków. 1933. Związek Kół Historyków. Str. 82.

PAMIĘTNIKI:

Władysław Mickiewicz: Pamiętniki, t. III. (ostatni). 1933. Gebethner i Wolff.

STUDJA, ESSEJE:

Boy-Żeleński: Ludzie i bydlątka. Bibljoteka Boya. Str. 286.

PEDAGOGIKA, KSIĄŻKI NAUKOWE:

Marjan Henryk Serejski: Historja powszechna na I kl. gimnazjalną, str. 175, ze 199 rycinami i 8 mapkami. M. Arct.

Bohdan Dyakowski: Zoologja na I kl. gimnazjalną. Str. 184. M. Arct.

Zygmunt Chwiałkowski: Arytmetyka dla II kl gimnazjalnej. Str. 103. M. Arct.

Zdzisław Stahl: Wstęp do polityki. Rozważania — Materjały. Lwów — Warszawa. 1934. Str. 115.

Dr. Ed. Claparede: „Wychowanie funkcjonalne", przełożyła Marja Ziembińska, str. 221, Książnica-Atlas, Warszawa.

Dr. Kazimierz Sośnicki: „Podstawa Wychowania Państwowego", str. 279. Książnica-Atlas".

„Swiat i Zycie", zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury, opracow. przy współudziale najwybitniejszych uczonych i specjalistów polskich pod redakcją prof. dr. Zygmunta Łempickiego, zeszyt 8. Wydawnictwo Książnica-Atlas, 1933 r.

NOWE POEZJE

Poeta awangardy krakowskiej **Jalu Kurek** wydał u F. Hoesicka dwa nowe tomy. Pierwszy z nich to poemat **„Usta na pomoc"**, drugi — tomik wierszy p. t. **„Mohigangas"**. Równocześnie prawie ukazał się komplet nr-ów „Linji" pomyślany jako całość dokumentarna. Jest to celowe zebranie i utrwalenie dorobku awangardy poetyckiej.

ANTYKWARJAT ARTYSTYCZNY
FRANC. STUDZIŃSKIEGO
Warszawa, Traugutta 8
przyjmuje subskrypcję na monografję
p. Leopolda Wellisza
o znakomitym grafiku polskim
Feliksie Stan. Jasińskim
Wydawnictwo ukaże się w języku francuskim w pierwszych dniach grudnia w ograniczonej liczbie egzemplarzy i obejmować będzie obfity materjał ilustracyjny oraz kilka odbitek z nieznanych oryginalnych płyt.
Prospekty szczegółowe na żądanie.

WIELKA ZNIŻKA CEN!
Wydawnictw Księgarni i Czytelni
G. SZYLLINGA
Warszawa, Szpitalna 10. Tel. 2-59-69

	Cena dawna	Cena obecna
Burnett H.		
Mała Księżniczka, kart.	10.—	6.—
opr. płót.	12.—	8.—
Ciechanowiecka		
W Sercu Sahary, br.	16.—	10.—
opr. płót.	20.—	15.—
Dell. — Lampa na pustyni z ang. br.	9.—	4.50
Or-Ot A. — Abecadło Wolnych Dzieci, br.	3.50	2.80
Rosinkiewicz.		
Przygody Lotnika, kart.	5.80	3.80
Sewell. — Mój kary, przekł. z ang. kart.	6.80	4.—
opr. płót.	10.—	7.—

Ostatnie egzemplarze nakładu są do nabycia po cenach zniżonych we wszystkich księgarniach.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Hurtownia
dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc.
w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarniom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.
„KURJER KSIĘGARSKI".

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590
Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: **Tadeusz Święcicki** Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty **Juljan Zielski**

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10

Biblioteka UMCS Lublin